

sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK II NR. 4 (28) WARSZAWA, DNIA 15 MAJA 1933 R. CENA 50 GR.

Hitler - zbawiciel

Cytaty:

„Zbolszewizowanie, nawrót do pogaństwa, cynizm obyczajowy, mętny, prymitywny mistycyzm, zwyrodnienie seksualne — oto obraz elity intellektualnej narodu niemieckiego, niegodnej spadkobierczyni wielkich tradycyj. Walka przeciw rozumowi, etyce i wszystkim instytucjom, hamującym całkowitą anarchję społeczną, przewrotność płciowa, homoseksualizm, satyriasis i t. p. — oto tematy, w których nurza się literatura niemiecka“

„Dodajmy do tego kult ślepej siły i pieniądza, barbarzyński materjalizm, zalew prozy pseudo - naukowej, a w istocie pornograficznej, legjony magów, astrologów, jasnowidzów i wróżbitów, którym wierzy tłum, pozbawiony oparcia w religji i kryterjów rozumu, a będziemy mieli iście apokaliptyczne widowisko staczania się człowieka w otchłań najciemniejszych popędów i instynktów“.

(„Literatura upadku“ — „Zet“, nr. 14, z dn. 15.X.1932 r.).

— — — — — — —

A więc: „Heil Hitler!“? Odrodzenie? Naród niemiecki podźwignął się z upadku? Znalazł w sobie dość energji i zdrowia moralnego, by sprostować wykrzywioną linję swych dziejów, usunąć pasożyty, nawrócić do wielkich i zaszczytnych tradycyj przeszłości, kiedy to Niemcy przodowały Europie zarówno rozumem spekulatywnym, jak i poczuciem bezwzględnego imperatywu moralnego?

— — — — — — —

Cytaty:

„Dla Romana Dmowskiego faszyzm i hitleryzm są pocieszającemi zwiastunami nowych ruchów narodowych, które może otrząsną świat z pasożytów, pracujących usilnie nad jego gangreną i zniszczeniem. Wydaje nam się, że przecenia on wartość etyczną tych ruchów. Nie mogą one same przez się uzdrowić ludzkości, skoro im samym brak ideowego pionu moralnego. Gdy się zwalcza tych dla których *państwo jest Bogiem*, nie można głosić hasła, że *naród jest Bogiem;* byłoby to znowuż bałwochwalstwo fetysza“.

„....ruchy o typie hitlerowskim przyczyniają się tylko do pogłębienia kryzysu cywilizacji i rozżarzają do czerwoności antynomję społeczną, prowadząc w otchłań krwawych wojen domowych, których konsekwencją może być jedynie.. zbolszewizowanie Europy“.

(„Dmowski o hitleryźmie“ — „Zet“, nr. 11, z dn 1,IX. 1932 r.).

— — — — — — —

Czy sąd ten wygłoszony 8 miesięcy temu nie był przypadkiem chybiony? Czy rzeczywistość nie przekreśliła tych obaw? Przecież Hitler zgniótł za jednym zamachem międzynarodówkę marksowską, zapędził do piwnic struchlałą komunę, wydał demoralizatorów w ręce rozgniewanego narodu, przywrócił jednolitość i siłę, wskrzeszając niemal święte Cesarstwo rzymskie Karola Wielkiego. Nie będzie tedy ani wojny zewnętrznej, bo hitleryzm zajmie się na długie lata odbudową „ducha niemieckiego“, ani też wojny domowej, bo z żelazną sprawnością i konsekwencją opanowano całe życie wewnętrzne kraju, rozbrajając doszczętnie ewentualnych wrogów.

A więc, czyż nie należy mniemać, że wszystko jest na najlepszej drodze? Że narodom zagrożonym judeo - marksowską zarazą nie pozostaje nic innego, jak naśladować ten zbawczy proceder? Czy hitleryzm nie jest imponującą manifestacją mesjanicznego żaru, jaki ogarnął naród niemiecki, stający dziś na czele krucjaty wszechludzkiej przeciwko armjom Antychrysta? Więc „Drittes Reich“? Deutschland erwache?!

— — — — — — —

Cytaty:

„...lawina przyrodzonych skłonności gna Niemcy współczesne po linji najmniejszego oporu wprost w szorstki, wilczy obóz kohort Hitlera“.

„Oszalały Anioł niemiecki miota się, z mieczem okrwawionym w jednej ręce, a z potarganym kodeksem „Faust-rechtu“ w drugiej Kłębią się w nim wszystkie upiory duszy teutońskiej, jakgdyby wypuszczone na świat z puszki Pandory“.

„Z za pleców komedjanckiego dyktatora o złych oczach wyziera znowu maska kościotrupa wojny, w hełmie stalowym. Krwawy dylemat wskazuje dwa rozstrzygnięcia: Albo rzeź powszechna, bomby i gazy trujące, pięćdziesiąt miljonów ofiar — albo barykady wojny domowej, triumf komuny i nieuchrone jej następstwo w tym kraju: nowa zawierucha religijna, a wreszcie anarchja, ciemność, zagłada“.

„Fałszerz rzeczywistości niemieckiej Adolf Hitler bredzi o trzecim etapie. Jest w tem część prawdy. Ale ten trzeci etap to nie 3-cie cesarstwo, ta nowa inkarnacja złowrogiego, krwiożerczego demona. Prawdziwy trzeci etap, o ile nastąpi, winien być bardziej wzniosły, godniejszy trudu, dla ludzkości całej błogosławiony“.

(„Deutschland erwache“ — „Zet“ nr. 6, z dn. 15.VI. 1932 r.).

— — — — — — —

Czegóż więc chcecie wreszcie od tych Niemiec? — zapyta czytelnik tego artykułu. — Do czego prowadzi, waszem zdaniem, gra rozpoczęta nad Sprewą? Jakież to siły dziejowe objawiły się tam z tak spontaniczną siłą? Czy można dziś przewidzieć dalszy rozwój tego oszałamiającego widowiska?

— — — — — — —

Cytaty:

„Misja dziejowa narodu niemieckiego nie została dopełniona“. „Demon pychy rozsadził ich, upadek moralny przemienił cały naród jakby w strąconego Anioła. Dziś tylko przez wyrzeczenie się pychy i gorączki wojennej nastąpić może odrodzenie“.

„Z za krawędzi Jutra fascynuje już trzeci etap prawdziwy, reforma religijna przy pomocy filozofji spekulatywnej, powrót do Chrystusa przez rozwiązanie zagadki odrodzenia duchowego człowieka“.

(„Deutschland erwache“ — „Zet“ nr. 6, z dn. 15.VI.1932 r.).

— — — — — — —

Ach, więc to! Więc przeznaczeniem dziejowem narodu niemieckiego miałoby być odrodzenie religijne i moralne ludzkości, tak jak przeznaczeniem Francji zdaje się być ugruntowanie międzynarodowego ładu politycznego. Ale jeżeli tak, to Hitler jest niewątpliwym mężem Opatrznościowym, bo jego ruch nabiera przecież coraz wyraźniej cech przełomu moralno - religijnego. Chce on stworzyć nowe niemieckie chrześcijaństwo, którego prorokiem byłby on sam, chce stanąć na czele tego spełnionego kościoła. Skądże więc ta nieufność i te zarzuty przeciwko niemu? Jego trzeci etap dopiero się zaczyna; czekajmy końca!

— — — — — — —

Cytaty:

„Państwo Bojaźni Bożej“, gdzie nawołuje się do jawnego pogaństwa, jako religji narodowej“ („Zet“ nr. 6, z dn. 15.VI.1932 r.).

„...studenci - hitlerowcy w Lincu... na domu katolickim umieścili afisz, brzmiący: ‚Heil Hitler! Juda-Christus verecke!“ (Zdechnij Żydzie - Chrystusie!).

„Rewolucja narodowa nie zatrzymuje się u wrót kościoła. Z coraz większą intensywnością próbuje zrealizować swe założenia programowe również i w sferze religijnej“.

„1) Hitleryzm nie uznaje chrześcijaństwa jako ogólnoludzkiej podstawy wierzeń religijnych, lecz przystępuje do stworzenia swoistego niemieckiego chrześcijaństwa; 2) w ten obrządek, jako najintegralniejszą część wsadza „kult światła“, który na ołtarzach pogańskich starych Germanów odgrywał dominującą rolę“.

„Na zjeździe zwolenników Reichskirche ustalono następujące tezy: 1) wyrzec się Starego Testamentu, 2) zastąpić proroków żydowskich kultem bohaterów pragermańskich, 3) usunąć z „Reichskirche“ kult Chrystusa, jako niegermańskiego pochodzenia“.

„Przetworzono tę potężną organizację (masonerję niemiecką — *przyp. nasz)* w „Narodowy Zakon“, którego pierwszy punkt statutu brzmi: „Zakon przyznaje się do niemieckiego chrześcijaństwa, z którym ołtarzowy kult światła naszych praojców ma wiele wspólnego“.

„...gdzie szukać tych praźródeł (religijnych)? Jeżeli nie w Starym i nie w Nowym Testamencie, to chyba tylko w wierzeniach pogańskich szczepów germańskich, w kulcie Wotana, Freji, Thora, we wskrzeszeniu mitu o Walhalli“.

(„Walka z chrystjanizmem w Niemczech“, „Gazeta Lwowska“ z dn. 3.V.1933).

— — — — — — —

To wcale nie zabawa. To pomruk nadciągającej burzy. Zaczęło się od bicia małych Żydów, a skończy się na biciu w wielki dzwon anti - christowy. Nietylko w Hiszpanji umieją palić kościoły. Zaprawdę, mamy przed sobą interesujące widowisko. W Rosji żydzi mordowali aryjczyków, ale Chrystus był tym, którego postanowiono zniszczyć w pierwszym rzędzie, jako wroga marksizmu i judaizmu, a patrona burżuazyjnych imperjalizmów narodowych. W Niemczech aryjczycy mordują żydów, ale celują znowuż w Chrystusa, jako żyda, bo „jeśliby w naszych czasach Chrystus powrócił na ziemię, to stanąłby po stronie międzynarodowców i marksistów“.

Oczywiście ci i tamci mylą się, nieświadomie albo rozmyślnie. Nie stanąłby ani przy jednych ani przy drugich. Sama rzeczywistość historyczna przeczy temu zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie. Ale cóż oznacza to wszystko? — spytają panowie politycy. — Cóż to za duch wieje po Europie, obradującej trzeźwo na konferencjach gospodarczych i rozbrojeniowych?

Oh, politycy! Przestańcie nareszcie być graczami swej „rzeczywistości urojonej“, nauczcie się historjozofji, wnikajcie w tajemniczy sens dziejów!

— — — — — — —

W n-rze 1-ym „Zetu“, w artykule „Dlaczego?“ pisaliśmy co następuje:

„...kraj nasz leży w centrum geograficznem Europy, w punkcie krzyżowania się dwu przeciwstawnych sobie światów ideowych“.

Zdanie to, za które padały na nas przed rokiem gromy oburzenia i szyderstwa, a które dziś jest już nie oczywistością, ale nawet truizmem — należy teraz uzupełnić w następujący sposób:

Polska znajduje się nie w pośrodku dwu światów, lecz w pośrodku dwu prawdziwych upiorów dziejowych.

Z wysokiego bastjonu obserwacyjnego patrzymy dziś na Wschód i na Zachód. Widzimy jak wyrastają przeciwko sobie dwie doktryny, dwa ideowe potwory, jednakowo spragnione ogarnięcia oddechem swoim całej ziemi. Ludzkość znajduje się w śmiertelnem niebezpieczeństwie. Z obydwu stron zamknięto jej drogę odwrotu. Noc wyziera z poza czerwonej gwiazdy. Noc wyziera z poza swastyki. Polska jest w kleszczach Nocy.

Pytają się liczni z pośród nas, za kim stanąć w tej walce na śmierć i życie? Sądzimy, że cała nasza przeszłość historyczna i cała europejska teraźniejszość dyktuje nam wyraźną odpowiedź. Mówią one: Strzeżcie się losu tych, których zapał i żar mesjaniczny wpadł w sidła złowrogiego szantażu, strzeżcie się losu narodów rosyjskiego i niemieckiego. Brońcie tej twierdzy, którą atakują tak z jednej, jak z drugiej strony.

Wypadki toczą się z szybkością lawiny. To, co zdawało się odległe, pojawia się tuż za krawędzią Jutra. Na Zachód i na Wschód od Polski świat pachnie krwią i zasadzką. Historja użyźnia tam glebę pod wielkie, ostateczne posiewy... Baczcie ,aby nie brakło rozsiewców, gdy już nadejdzie godzina....

Hasłem aktualnem Polski winno być dzisiaj nietylko to: Zachować czujność i spokój. Powinno nim być również: Wyzwolić się ze śpiączki ideowej, gnuśnego rozprzężenia, szerzonego przez różne „reformy seksualne“. Szukać swej własnej prawdy dziejowej. *Znaleźć siebie...*

Aby to co nadchodzi, nie zaskoczyło nas we śnie.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

Dwa nokturny

1.

Pannie NELI M.

Powiesili szatani dzwon na szklanej górze
i serce zeń wyjęli,
by nie mogli grać na nim śpiewający w chórze
anieli.

Nakryli się skrzydłami, siedzieli u stóp góry
i siedzieli kamieniem
zadumani nad nocą, nad milczeniem natury
i nad dzwonu milczeniem.

Wtem wiatr, górą idący, krawędź dzwonu poruszył
szklanym jękiem rozpaczy.
Usłyszeli szatani, porozsiadani w głuszy:
dzwon płacze...

2.

Co nocy anioł mocuje się ze mną,
bezsilnie opadają zmordowane dłonie,
skoro odejdzie — i walką daremną
znużony, śledzę gwiazdy padające na nieboskłonie.

Oto już niema tych, co mnie zrodzili,
nie zebrać kości niewidzianej matki,
ojca zachłanną gliną przyrzucili,
jeszcze nie porósł cmentarnianą trawą pagórek gładki.

Groźną wichurą samotność istnienia
dmie skroś rozumu, jak poprzez stodołę
rozwartą mocne wiatry w czas młócenia:
milcząc staję do walki z coraz niżej schylonem czołem —

Uwagi o Norwidzie

I.

Pisze Norwid w swoich wykładach o Słowackim:

„czytanie autora zależy na wyczytaniu zeń tego, co on tworzył, więcej tem co pracą wieków na tem narosło. — Jest to cień, który z łona najnieskończeniej wyższej prawdy upada na literatury papier, i świadczy albowiem, że poza słowami naszemi jest jeszcze żywot Słowa"!

W ten właśnie sposób chcę czytać Cyprjana Norwida.

II.

Cała polska poezja t. zw. romantyczna, poczynając od jej czterech ewangelistów, Mickiewicza, Krasińskiego, Norwida i Słowackiego, a kończąc na Wyspiańskim, nie może być czytana inaczej, niż jako biblja żywego Słowa, wcielającego się w ludzkość i jej dzieje. Eksplorowana od zewnątrz, przez jałowych odczytywaczy tekstów, zarówno jak przez jej uczuciowych wyznawców, przedstawiać będzie istny las trudności, apokaliptyczne kłębowisko alegoryj i zagadek, pozorne cmentarzysko myśli i wzlotów ducha, martwe dlatego, bo nie widzimy Prawdy, która je ożywia.

Jest to jakby owa katedra w „Akropolis" Wyspiańskiego, pełna pomników, kaplic, gobelinów, zamieniona przez ludzi na muzeum pamiątek przeszłości, *z trumną pośrodku*, do której lud się modli. Wszystko, co znajduje się w tej katedrze jest częścią całkującą Prawdy, ale ludzie przechodzą obok tych fragmentów naoślep, nie widząc związku pomiędzy niemi, nie widząc owej prawdziwej Jedni, w blasku której zmartwychwstaje to, co zdawało się być próchnem. Wszystko w katedrze jest żywe i prawdziwe, prócz jednej tylko... Trumny. Ta trumna, stojąca pośrodku, *jest kłamstwem*. Musi być usunięta precz, roztrzaskana, jest bowiem czemś obcem w katedrze, jak to stwierdza mądrze St. Lack w swych „Studjach o Wyspiańskim". Więc oto Prawda zjawia się, przywołana przez Sztukę-Harfiarza, wjeżdża triumfalnie w katedrę wśród grzmotu organów. I w jej oślepiającym blasku wszystko staje się naraz jasne i oczywiste, rozpierzchłe myśli i Słowa łączą się, rozsypane części stąpiają się w jeden związek, w jedną organiczną całość.

Podobnie ma się rzecz z romantyzmem polskim, w który wcieliło się, oczekując żywota, męki i zmartwychwstania — SŁOWO dziejów.

III.

Daremnem byłoby chcieć zabić romantyzm polski, odsunąć go w przeszłość, uchylić się odeń i od problemów, jakie nam zakłada. Stanowi on rzeczywistość historyczną (i to rzeczywistość wyrosłą najbezpośredniej z ducha narodu polskiego), a skwitować się z rzeczywistości można tylko przez jej dopełnienie. Póki *tamto* ciąży nad nami, jako zagadka nierozwiązana i jako obowiązek niewykonany, dopóty jesteśmy niewolnikami przeszłości, jej dłużnikami. Zaprzeczać tego długu, to kłamać i grzeszyć. A grzesznik nie ujdzie kary. Będzie chwycony, osądzony i wrzucony „w ciemności zewnętrzne". „Zaprawdę nie wynijdzie stamtąd, zanimby nie oddał do ostatniego pieniążka".

Musimy wprzód wypełnić nieubłagane postulaty romantyzmu, zanim będziemy mogli pójść dalej, *wyzwoleni*. Uczynił tak Wyspiański, trud podjął i ducha wyzwolił. Przyjął Konieczność, dopełnił Przeznaczenie, a wtedy wzniósł się wyżej ponad nie i zobaczył się wolnym. Przejście od Konieczności do Wolności, to tajemnica, czyli wewnętrzny sens całego teatru Wyspiańskiego. Ale myśmy nie zrozumieli i jego, jak nie pojęliśmy tamtych, usiłując się pozbyć ich testamentu, jak niewygodnego ciężaru. Dlatego, mimo zdobycia niepodległości nominalnej, jesteśmy wciąż w Babylonie niewoli duchowej. Aby się z niej wyzwolić, aby przejść do Wolności, do nowej epoki historycznej, musimy wprzód przeżyć w dziejach całą prawdę romantycznej Ewangelji—

„By żywi w dziejach myśli te przeżyli,
Z których gzło zdarły dramatu koleje".
(St. Wyspiański).

IV.

Aby zrozumieć Norwida do głębi, trzeba:

1) określić samą *prawdę* romantyzmu polskiego;

2) odtworzyć, w świetle tej prawdy, architekturę romantyzmu, t. j. hierarchję idej i zadań, jakie wcielali w siebie główni jego przedstawiciele:

3) wyznaczyć dokładnie miejsce, jakie Norwid w tej hierarchji zajmuje.

Nie chodzi tu o stwierdzenie, o ile Norwid był mniejszym lub większym od innych w chórze Derwida, gdyż o jakiemkolwiek rozróżnianiu tego rodzaju nie może być mowy, wobec *absolutnej konieczności* wszystkich tych poszczególnych manifestacyj ducha romantyzmu polskiego; każda z nich (a więc i każdy z wieszczów) spełniła swoje zadanie jedyne i niezastąpione, jako część, bez której całość nie miałaby swej ostatecznej racji i uzasadnienia. Idzie więc o *zrozumienie* Norwida, jako elementu, bez którego prawda dziejowa Polski nie mogłaby się obejść.

V.

Prawda dziejowa Polski, to obowiązek jaki na niej ciąży w stosunku do człowieka, ludzkości i Boga (powiedział Norwid: „naród to obowiązek zbiorowy"...), to czyn, jaki *powinna spełnić*, i w którego spełnieniu żaden inny naród świata zastąpić jej nie może. Wynika stąd, że prawda ta to *mesjaniczność* polska, samorzutność w podjęciu wszechludzkiego zadania, dla którego ludzkość istnieje na ziemi i bez rozwiązania którego nie może być z warunków ziemskich wyzwolona.

Na czemże polega ta mesjaniczność polska? Norwid odpowiada na to arcy-trafnie, mówiąc, że Polska znajduje się w samym środku ludzkości i dziejów, zaś „środek po polsku sposób znaczy". Idzie o sposób najwyższy i jedyny, sposób radykalny rozwiązania tej zagadki, jaką nosi w sobie człowiek, danie odpowiedzi Bogu i sobie na pytania: kim jestem? i — co mam uczynić? Odpowiedzi tej szukał po wsze czasy rozum ludzkości w filozofji, religji i sztuce, dlatego cała historja nie czem innem jest jak „zguby szukaniem", tym prometejskim trudem „wiecznego człowieka", który szuka *sam siebie*. Ale wszystkie etapy tego trudu były dotąd tylko wyłuskiwaniem z ciemności i widomem zakładaniem *problemów*, oraz przygotowywaniem narzędzi przyszłego walnego rozwiązania.

Otóż wszystkie problemy poszczególne mają gdzieś punkt przecięcia, środek, który jest też zarazem sposobem ich zbiorowego *rozwiązania*; podobnie wszystkie narzędzia, czyli elementy dziejów, zbiegają się gdzieś w jedno narzędzie olbrzymie, którego są tylko fragmentami, mają gdzieś swój środek, który jest zarazem sposobem ich zbiorowego *użycia*.

Środek i sposób ten — to Polska, to romantyczna i mesjaniczna *prawda polska*.

„—Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica,
Tam jest mój środek dziś — tam ma
stolica,
Tam jest mój gród".
(„Pieśń od ziemi naszej" — C. Norwid).

Jaki to gród, opowiedział nam Wyspiański, w swoim teatrze Słowa, teatrze Wawelu. Ten gród to Era Dopełnienia, błyskawicowy czyn Wyzwolenia, Jeruzalem Nowe. Jak się buduje ten gród? „Ze zbudowania w duchu", t. j. w Pięknie, Dobru i Prawdzie, w których to trzech ideach rozum twórczy, Prometeusz, wieczny człowiek — odnajduje sam siebie.

Polska myśl filozoficzna budowała ten gród w Prawdzie, w idei. Polski romantyzm budował go w Pięknie, dając idei postać i siłę. Polski czyn religijny zbuduje go w Dobru, utożsamiając w sobie ideę i siłę.

VI.

Istotą romantyzmu polskiego jest zatem trud trudów, męka i zmartwychwstanie „wiecznego człowieka", jego przejście od konieczności do Wolności, albo *spełnienie dziejów ziemi*.

I była w tem Polska, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wzięta tęczą zachwytu —
Polska — *przemienionych kołodziejów!*
(„Fortepian Szopena" — C. Norwid).

To przejście od Konieczności do Wolności, a więc od przemocy wiążącego Przeznaczenia, w którego ślepych trybach tkwi człowiek każdy, skrępowany warunkami fizycznemi — do wolnej samorzutności stwórczej ducha-rozumu, jest wyzwoleniem i zmartwychwstaniem człowieka z trumny dziejów, roztrzaskaniem przez Ducha-Salvatora tej trumny. Ale wyzwolenie to nie dokona się ani w dole, ani w górze, t. j. ani w sferze przyziemnego dobrobytu, ani w sferze oderwanej, pozaludzkiej, w zaświatach. Wyzwolenie to nastąpić winno tu, na ziemi. Dlatego trzeba mocno stać pośrodku, wiążąc wciąż ziemię z niebem i dokonując przeistoczenia rzeczywistości w *samym człowieku*.

Bo w górze grób jest ideom człowieka
W dole grób ciału...
(„Idea i prawda" — C. Norwid).

Trzeba niebem przepromieniać ziemię i trzeba być mocno skutym miłością z ziemią, aby ją porywać za sobą w niebo. Myśl tę najwyższego sposobu i środka pojął dobrze Brzozowski, skoro mówi:

„Polska ta, ujmująca samą siebie w sztuce, a wrastająca w ziemię ramionami pracy, unosząca tę swoją glebę istnienia w świat bezwzględnej swobody (wolności absolutnej ducha — *przyp. mój*): — ziemia stająca się duchem i duch rodzący z siebie ziemię i niosący ją w piersi swej ku wiecznemu ognisku duchów — to była wiara Norwida".

VII.

Prorokował więc i przygotowywał romantyzm polski wielkie i ostateczne przesilenie dziejowe, przejście od ery Przeznaczenia do ery wolnego, nieśmiertelnego Człowieka. Koleje tego przejścia odsłonić miał w swoim teatrze dziejów Stanisław Wyspiański. Tam scena tych ostatecznych zmagań żywota ze śmiercią i światła z ciemnością została dokładnie wyznaczona; będzie nią Wawel i Polska. A wiedział to już i Norwid gdy pisał:

O! niechaj wklęśnie pokory otchłanią
Jako wybrane *ziemia ta* naczynie...

I to:

O! dzięki Tobie Ojcze ludów — Boże,
Że ziemię wolną dałeś nam i nagą;
Ani oprawną w nieprzebyte morze,
Ni przeciążoną gór dzikich powagą,
Ale jak piersi otworzoną Boże...

I który łaski zakreślisz promieniem
Dzielnicę ludów w czas ludów chaosu...

(„Psalm wigilji" — C. Norwid).

I czasy przyjdą takie, że Europa,
Co tu i ówdzie o foremki woła,
Będzie jak koło kruszwickiego chłopa,
A ramię Boże, jak oś tego koła!
(„W albumie hr.***" — C. Norwid).

VIII.

Czas już chyba dla uzupełnienia tej mesjanicznej wizji Norwidowej zacytować zakończenie wiersza, który każdy z nas umie na pamięć, ale którego grzmiące, spiżowe strofy same się cisną na usta:

Gdy *ducha* z mózgu nie wyplątasz tkanin,
Wtedy cię czekam — ja, głupi Słowianin,
Zachodzie — ty!...
A tobie, Wschodzie, znaczę *dzień widzenia*,
Gdy już jednego nie będzie sumienia
W ogromni twej.

Południe! klaśniesz mi, bo klaszczesz mocy;
A ciebie, minę, o głucha Północy,
I wstanę *sam*.

Braterstwo ludom dam, *gdy łzy osuszę*,
Bo wiem, co *własność* ma — co ścierpieć
muszę:
Bo już *się znam*.

IX.

Jak rozumiał Norwid to problematyczne przejście od Konieczności do Wolności, wyjaśnia nam dostatecznie poemat „Niewola", którego fragmenty znajdują się w ostatnim tomie wydanym przez Miriama p. t. „Poezje wybrane".

Poznajemy tu historjozofję Norwida w całej jej wstrząsającej prostocie i głębi, choć myśli historjozoficzne poety rozsiane są po wielu innych utworach, cała jego poezja była bowiem zjawiskiem nawskroś *dziejowem*, żyła i oddychała celami historycznemi rozwoju człowieka.

Niewola — jest to formy postawienie
Na miejsce celu. — Oto uciśnienie...

I zaraz, jak akord rozwiązujący i jak odpowiedź, rozbrzmiewa o kilkanaście wierszy poniżej ten dwuwiersz:

Bo wolność?... *jest to celem przetrawienie*
Doczesnej formy. Oto wyzwolenie!

Głębię tego ujęcia zrozumie każdy, kto czytał już w „Zecie" artykuły o Wyspiańskim i istocie tragedji, a także o Prawie Postępu Hoene-Wrońskiego. Istotnie bowiem, niema dla człowieka innego wyjścia poza ślepy krąg Konieczności, jak przez określenie ustanowionych przez nią elementów natury ludzkiej, jako świadomych celów, osiąganych stopniowo, a zawsze pod kątem najwyższego celu wszechdziejów, jakim jest nasza rzeczywistość absolutna.

Umieć stanąć ponad tem, co jest doczesnie i fizycznie mną, to spełnić ów wielki nakaz: Transcende te ipsum!, dyktowany ludzkości przez filozofów, proroków i poetów. To użyć swej indywidualności celowo, jako łącznika z powszechnością. *To utożsamić się z duchem dziejów*, poświęcić mu siebie, jako formę warunkową, a zato zyskać siebie, jako treść niewarunkową. To traktować pracę swoją i sztukę, cierpienie a nawet męczeństwo, jako sposoby i środki do celu wieczyście ściganego, jakim jest i powinien być: Bóg-Człowiek.

Pisze więc Norwid o tej formie doczesnej:

Więc poco *cel* mój, *Boga*, mi zakrywa?
A Bóg mój — żywot jest i zmartwych-
wstanie,
I to jest wszystek cel, choć przez konanie.

Zatrzymanie się w miejscu, na jakimś etapie przejściowym i pośrednim, w dążeniu człowieka do Wyzwolenia, uważać trzeba za grzech i zbrodnię. Nie inaczej sądzi Słowacki, mówiąc w swojej „Genezis z ducha" o „zaleniwieniu w formie". Norwid oburza się na tę faryzejską opieszałość, usprawiedliwiającą się tem, że niewielu jest wybranych i że *doskonałość* jest ponad ludzkie siły.

Pragnąłbym wolnych, jasne widzieć
czoła —
Bo sporoć jeszcze jest dni i przestrzeni
Od najczystszego z zwierząt do Anioła,
I niedość ziewać tu: w wielkiej tej *sieni!*

X.

W człeka istocie niewola jest z ciała,
Skoro je za cel duch postawi sobie;
W narodzie — z formy, choćby doskonała,
Choćby to była z form przednia na
globie, —
Jeśli się celem, nie zaś środkiem stała.

W słowach tych odprawia Norwid prawdziwy sąd nad współczesną ludzkością, która w pogoni za dobrobytem i za zewnętrznemi formami społecznemi, zapomniawszy o Bogu w człowieku — popada w coraz straszniejszą niewolę. Tragedję tego coraz głębszego upadku odgaduje w samej jej istocie: w sporze między dwu walczącemi na zabój dążnościami, dwu obozami społecznemi, w których widzi jałową jednostronność, a więc umieszczenie *poza* środkiem i sposobem spełnienia dziejów.

I żal mi bardzo was — o postępowi,
Którzy zniweczyć przeszłość chcecie całą,
By łatwiej było, lecz jako żółwiowi,
Orzec: „tak wiele już ubiegłom z chwałą".
Tylko — że, aby drogę mierzyć przyszłą,
Trzeba koniecznie *pomnieć, skąd się*
wyszło!
I żal mi, żal mi was — o opieszali,
Którzy zniweczyć *przyszłość* chcecie całą.
Podczas, gdy wasza przeszłość w was —
bo ciało —
Przyszłością waszą, duchem, wciąż się
pali...

Idea równowagi między indywidualnością a powszechnością w dziejach, między celami jednostkowemi a celami wszechludzkiemi, tak charakterystyczna dla mesjaniczności polskiej, wyraźnie manifestuje się w tej refleksji o dwu jednakowo zgubnych rodzajach postępu.

...gdy *wolność-postępu w osobie*
Na rzecz *postępu w historji* zaprzeczysz,
Wielki ci stanie mąż na woli-grobie,
Pytając: „*Czemu to ducha kaleczysz?..*"

Wierzę — iż postęp w historji gdy zgładzę
Na rzecz *postępu w osobie* człowieka,
Odwlekę wolność, ojczyznę przesadzę
I będę cieszył się, że sprawa czeka:
Lecz aniołowie z umarłych popiołu
Na mój czy wstaną głos — zasiąść
u stołu!?

Sprawuje jednak Norwid tenże sam sąd nad narodem, który zapomina o swojej prawdzie *środka*,

Za lada czasów woli pędząc manią,
Wszech-dojrzałości oczekując ludów —
Albo tych ziemskich - cudów: *Rewolucyi*,
Albo niebieskich-rewolucyj: *Cudów...?*

i sąd nad samym sobą, szukając przyczyny i celu tej dwoistości dążenia:

Więc — badam w sobie dwa pierwiastki
różne,
Ten, co widzialny, ów co *niewidzialny*,
Jakby zwaśnione z sobą dwa podróżne
W oddali jednał *cel* jeden — *moralny*.

Odnalazłszy tak w samej Istocie Ludzkiej obydwa elementy dziejów, przyrodę (ciało) i wolność (ducha), natrafia wreszcie na *siebie*, lecz nie w nich, lecz znowuż w środku, pomiędzy niemi:

A potem — siebie tak niewolonego
Znów między *znanem* widzę a *nieznanem*,
Między: *zkąd idę?* a: idę *do czego?*
W sobie i w dziejach ja ukrzyżowanym!

W genjalnej tej strofie reweluje poeta tajemnicę dwoistej czynności stwórczej rozumu, polegającej na zakładaniu i rozwiązywaniu *przyczyn i celów*, a więc na akcie: *dlaczego?*, zawierającym w sobie obydwa te dążenia. I to: skąd i dokąd? (przez co i poco?) postaciuje mu się, jako przecięcie dwu linji, a więc znamię krzyża, wyznaczające wreszcie środek i sposób: jaźń boskoludzką w sobie, która jest prawdziwym podmiotem dziejów na krzyżu tych dziejów ukrzyżowanym. Odnajduje w sobie prawdę Chrystusa, rozwiązaną w polskiej prawdzie mesjanicznej, której on, zarówno jak cały romantyzm, służył.

„*Chrystyanizm* (przychodzi do uczestnictwa w sztuce) — przez przecięcie linji ziemskiej horyzontalnej i linji nadziemskiej prostopadłej — z nieba padłej, czyli przez znalezienie środka +, to jest, przez tajemnicę krzyża (środek po polsku znaczy zarazem sposób)".
(„Epilog" (Promethidionu) — C. Norwid).

Oto w niewielu słowach, idea przewodnia twórczości Norwida, kojarząca Chrystusa zakładającego problemat dziejów, z Polską, rozwiązującą ten problemat przez swój mesjaniczny czyn dziejowy. Nasuwa się tu podobieństwo z przecięciem się dwu współrzędnych geometrycznych *x* i *y*, z których wyrasta trzecia z (zet), wiodąca w górę, a więc jakby z poziomu Konieczności w triumfujący pion Wolności.

Określiwszy tak, dla zrozumienia Norwida, prawdę romantyzmu, zajmiemy się tegoż romantyzmu architekturą i miejscem, jakie objął w niej Norwid.

Jerzy Braun.

Rozmyślania

(Wstęp do Wrońskiego, specjalnie do jego filozofji psychologji)

IV

XII. IRRACJONALIZM.

38. Jaką mamy rękojmię słuszności dotychczasowych wywodów?

Rękojmię jedności założenia. — Poszczególne rozwinięcia naszych poglądów mogą być mylne, o ile daliśmy się unieść nieuprawnionym urojeniom, lub wadliwie stosowaliśmy własne zasady. Natomiast jedynym naszym punktem wyjścia, jeśli się sięgnie aż w jego głąb, było poprostu, najpierwotniejsze, najbezpośredniej pewne rozróżnienie pomiędzy podmiotem, a przedmiotem. Wnikamy tu w sam rdzeń rzeczywistości i żaden kontrargument się nie ostoi. Powie kto, że to również może być złudzenie? Lecz aby zachodziło złudzenie, potrzeba podmiotu, który się łudzi, oraz jakiejś rzeczywistości, nie odpowiadającej wyobrażeniom tego podmiotu; więc znów mamy *podmiot*, *przedmiot*, a ponadto *prawdę*.

Nasze założenie jest tedy konieczne a priori i faktyczne a posteriori. Sameż Rozum i Świat znajdują tu swe miejsce jako najogólniej pojęte Podmiot i Przedmiot.

39. Wiele a bałamutnie mówi się dziś o irracjonalizmie, przyczem za irracjonalne uważa się np. uczucia, popędy i t. p. Często jest to zwykła logomachja: nie wyjaśniwszy pojęcia Rozumu, miesza go się z Intellektem lub nawet z Rozsądkiem. My tu określamy Rozum: a) metafizycznie — jako władzę wytwarzania rzeczywistości własnej, b) noetycznie — jako wiedzę w podmiocie, c) logicznie — jako władzę zasad. Jeżeli zdołamy wszystkie władze psychologiczne wysnuć z wiedzy (vide infra), tem samem zmieścimy je w Rozumie; irracjonalnym będzie wówczas tylko byt nieoznaczony, czyli nicość (8), albo jeszcze — obłęd. Prawdziwym irracjonalizmem byłaby więc jedynie chęć podważenia powyższego założenia; nato bowiem trzebaby dosłownie zdruzgotać nasz rozum, w dziwnej nadziei, że dopiero tą drogą dotrze się do istotnego jądra prawdy. Skoro wszak nie kto inny, lecz nasz rozum, uznał istnienie prawdy, na czem (i poco?) oprzemy się, by mu kategorycznie odmówić możności poznania jej? Czyż i wątpienie nie jest dziełem tegoż rozumu? Dlaczego, zamiast mieć swe miejsce w planie wszechświata, nasz rozum miałby owszem być czemś całkowicie mu obcem, zupełnie się z całością nie klejącem? Wartość krytycyzmu polega na ostrożnym stosunku do hipotez, nie zaś na odrzucaniu wyjaśnień, czyniących zadość rozumowi. Jedynie absolutne TAK może stać o własnych siłach; absolutne NIE podkopuje samo siebie. Nasz rozum — to nie kaganek, lepiej lub gorzej oświetlający rzeczywistość; to nawet nie oglądające ją oko: to my sami. Zaprzeć się rozumu — to zgładzić siebie, to „grzech przeciw Duchowi Świętemu". Mistycyzm jest groźny, gdy radzi czekać prawdy biernie, jakby pasorzytniczo, przez chloroformowanie rozumu; to ostatnie bowiem — to przekreślenie roli człowieka w kreacji.

„La forme consciente de l'ètre (mybyśmy tu napisali raczej: notre Raison) jest à la fois abstraite, en ce que, dans le monde actuel, elle n'existe pas à part, et concrète en ce qu'elle est donnée en elle-même. ...Elle trouve, dans ses conditions materielles, un instrument encore plus qu'en lien. Elle se demande si cet instrument lui sera toujours indispensable, et elle aspire à un état où elle se suffirait à elle même, où elle aurait la vie et l'action, avec l'indépendance". (E. BOUTROUX).

40. Logika jest dyscypliną związków przyczynowych albo relacyj poprzedników z następnikami. Bada ustosunkowania między terminami. Tam więc, gdzie niema przynajmniej dwu terminów, jest bezsilna. Zasady tożsamości (A jest A), tej pierwszej ostoi logiki, nie należy bynajmniej brać za zasadę jedności, gdyż logika rozróżnia tu *dwa* A, widząc w pierwszem pewną substancję, w drugiem pewien sposób bycia.

Sąd: „*To* jest *stół*" oznacza, że dany przedmiot dobrze przystał do pojęcia czy wyobrażenia stołu, jakie miałem w umyśle. Dla nas ośrodkiem i sprawcą wszelkiej jedności jest nasz podmiot; sam tedy jest on bezwzględnie jeden. „Il semble— pisze Boutroux — que rien ne soit plus simple, et que nulle part la nature ne s'approche autant de ce terme idéal: l'unitè dans la perfection". Nadajmy poznającemu symbol A, poznawanemu symbol B. Mój podmiot — to kat'exochen A. Gdy chcę rozpatrywać A, przedzierzga się ono automatycznie w B i traci swą podmiotowość; właściwy mój podmiot przenosi się wówczas w to nowe A, rozpatrujące to nowe B; a cała analiza logiczna zwraca się wtedy na termin B, na kopulę i na terminy B¹, B²..., określające sposoby bycia terminu B. Termin A z konieczności pozostaje nietknięty. Bowiem: jako bezwzględna jedność, podmiot jest dla logiki nieuchwytny. Należy on do dziedziny *hiperlogizmu*.

Prototypem wszelkich ustosunkowań, związkiem najpierwotniejszym, jest stosunek Absolutu do Względności: wyżej logika już nie sięga. Natomiast rozum domaga się natarczywie wyprowadzenia wszystkiego z jednej zasady; wynurza się więc ponad logikę, *bynajmniej jej nie gwałcąc*, bo hiperlogizm — to wcale nie nielogiczność. Owszem, samaż logika wskazuje nam tu, że trzeba wyjść ponad nią :aby bowiem istniał związek między Absolutem a Względnością, muszą również istnieć oba terminy, przyczem pierwszy tem się różni (zewnętrznie) od drugiego, że w nim wiedza i byt są utożsamione, więc nie dają logice punktu zaczepienia.

I wreszcie: logika jest umiejętnością czysto formalną. Wniosek syllogizmu ma apodyktyczną moc przekonywania, lecz tylko pod warunkiem, że zawarte w przesłankach twierdzenia już *zgóry* uznamy za pewne. Zatem logika żadną miarą nie może być wyłączną dawczynią wszelkiej pewności; owszem, całą swą własną oczywistość czerpie ona z zasad wyższych od siebie: z absolutnych zasad Rozumu. Jawnie wynika to już chociażby z tego, że pierwsze prawa, na których się ona opiera (tożsamości, sprzeczności...), nie są własnem jej dziełem, czyli są hiperlogiczne. Logika — to metoda działania, to prawodawstwo, autonomicznie nadane sobie przez Rozum, celem badania *stosunków*. Ilekroć więc mamy conajmniej dwa terminy, *skądinąd pewne*, należy się trzymać logiki; inaczej popadamy w sprzeczność rozumu z własnemi jego prawami. Jednak rozum powinien zawsze pamiętać, że jest wyższy nad własną metodę. Niema np. we wszechświecie rzeczy bezpośredniej apodyktycznie pewnej, niż podmiot. Wątpienie może tu powstać jedynie wskutek nieuprawnionej pretensji logiki, chcącej wtargnąć w niedostępne dla siebie okręgi.

Cz. Jastrzębiec Kozłowski.

Dwa odczyty

Jerzy Braun, redaktor „Zetu" wygłosi dn. 18 maja o godz. 8 wieczorem w uniwersytecie warszawskim na zaproszenie Koła Slawistycznego odczyt p. t. „Słowo i czyn twórczy („Elementy słowiańskiego poglądu na świat"). W odczycie tym przeprowadzi on charakterystykę podstawowych założeń myśli słowiańskiej (ze specjalnem uwzględnieniem polskiej filozofji mesjanicznej), w jej aspektach: spekulatywnym i praktycznym.

Odczyt ten będzie powtórzony w Łodzi dn. 21 maja, na zaproszenie tamtejszego Syndykatu Dziennikarzy.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

Słowianie a idea mesjaniczna

Ludzkość współczesna to *chaos przed stworzeniem świata*. Tak jak Duch Boży kształtował niegdyś ślepe żywioły przyrody w olbrzymi, harmonijny organizm, stwarzając *świat fizyczny*, tak dzisiaj Rozum Człowieka winien utworzyć *świat moralny*, łącząc ślepe żywioły dziejów w system celowy i uporządkowany.

Dotychczasowy przebieg dziejów przygotował w ciągu długich tysiącleci całe mnóstwo sił i elementów, takich jak rasy i narody, odrębne środowiska cywilizacyjne i wyznania religijne, światopoglądy, tradycje i obyczaje; leżą one przed naszemi oczyma w całem swojem bogactwie i zróżniczkowaniu, jakby mnogie instrumenty, przysposobione do odegrania kiedyś jednej monumentalnej symfonji. Ale oto brak kapelmistrza i nuty nierozdane. Każdy instrument gra sobie osobno, jak umie, a jeśli nawet pojawią się próby scałkowania tej rzeszy indywiduów, robią one wrażenie niezdarnego rzępolenia, coś jakby strojenie instrumentów w orkiestrze przed uroczystą premjerą.

Wydaje się niemożliwością skoordynować te różnorodne żywioły; uderzają o siebie nienawistnie, roztrącające się wzajemnie. W braku jednej, powszechnej idei, konwulsyjne wysiłki jednostek i ludów powiększają tylko krwawy zamęt, daremnie marząc o jakimś nowym, wolnym ładzie moralnym, o mitycznem Królestwie Bożem na ziemi.

A jednak *ktoś i jakoś* musi ten nowy świat stworzyć. Ludzkość zaczyna już rozumieć, że inaczej nie wyjdziemy nigdy z chaosu i że przewlekły stan wrzenia doprowadzi wreszcie do globowego kataklizmu, do koszmarnej rzezi wzajemnej wszystkich ras, narodów i klas społecznych. Dlatego ponawia ona raz po raz próby porozumienia i pacyfikacji, tworząc różne ligi i stowarzyszenia międzynarodowe, obradując na niezliczonych zjazdach, konferencjach i kongresach. Ale ustawiczne łatanie i zszywanie rozdzierającej się chorągwi pokoju, nie pomaga. Zadanie sharmonizowania stu żywiołów dziejowych i ujęcia ich w ramy wspólnego ładu, zdaje się być ponad siły mózgów dzisiejszych.

Istotnie problem ten nie da się rozwiązać inaczej, jak w świetle jednej, kojarzącej prawdy, jednej idei. Takiej idei ludzkość zdaje się nie posiadać dotychczas, a wszystkie duchy i doktryny społeczno-polityczne, jakie dziś powstają, polegają tylko na negacji, są ewangeljami nienawiści i nie łączą, lecz dzielą. Tak np. marksizm (bolszewizm) rozbija ludzkość na klasy, których bytem jest pożeranie się wzajemnie; tak faszyzm (hitleryzm) atomizuje ją na narody, dyszące nienawiścią rasową i rozbójniczym imperjalizmem.

Wszystkie rezerwy dziejowe są już na wyczerpaniu. Pozostał Sfinks słowiański. Czy kryje on w swojem łonie tę zbawczą ideę, zdolną udźwignąć na swoich barkach ciężar nowej, syntetycznej ery, wiążącej rozprzężone elementy? Oto pytanie nowożytnego Hamleta. To by or not to by...

Aby znaleźć zadowalającą odpowiedź na to pytanie, trzeba rozstrząsać po kolei różne emanacje dziejowe ducha Słowiańszczyzny, wyławiając z nich to co ma charakter określonego światopoglądu, ideologji lub doktryny.

Ruch unijny tak silny u Słowian, w porównaniu z ludami romańskiemi i germańskiemi, nie świadczy jeszcze o niczem, jest bowiem tylko potencjałem, mgławicą uczuciową, której energja może się zaktualizować dopiero wtedy, gdy zogniskuje się w jądrze jakiejś dziejowej doktryny. A więc ruch ten, sam w sobie, ideologją jeszcze nie jest. Nie daje on też gwarancji, że wyłoni z siebie tę właśnie ideę wszechludzką, od której zależy dziś *stworzenie świata moralnego;* bez takiej idei, mógłby on stać się jednym jeszcze ruchem partykularnym, dodającym pan-slawizm do szeregu podobnych, zamkniętych w sobie szowinizmów rasowych lub wyznaniowych, jak pan-germanizm, pan-mongolizm, czy też pan-muzułmanizm.

W historji narodów i państw słowiańskich nie manifestuje się też żadna taka idea powszechna, prócz jednego wyjątku: polskiej idei wolności i równości politycznej, z systemem unij i konfederacyj, która to formacja ustrojowa stanowi prawdziwą *anomalję historyczną*, cudowny, przedwczesny kwiat na bagnisku Europy renesansu i oświecenia, jakieś feeryczne wyprzedzenie przyszłych praw i ideałów, jakie kiedyś może rządzić będą ludzkością.

Ta idea polityczno-ustrojowa, uzupełniona na modłę dzisiejszej demokracji nowożytnej stanowi niewątpliwie systemat wyższy i doskonalszy, niż wszystkie Ligi Narodów i kongresy międzynarodowe. Ponieważ jednak zastosowanie jej w warunkach obecnych nie jest możliwe bez głębokich zmian w życiu duchowem człowieka współczesnego, koncepcja ta nie może się stać tą ideą, jakiej poszukujemy. Dlatego musimy narazie odsunąć ją na bok, traktując ją jako *formę historyczną*, którą dopiero jakaś wielka treść duchowa mogłaby zaktualizować.

Wyjaśniamy: System unij i konfederacyj, związek wolnych z wolnymi i równych z równymi, uważamy za formę konieczną i jedyną *przyszłego związku państw słowiańskich;* ale system ten, aby okazał swą żywotność, musi być oparty na fundamencie idei moralnej i historycznej o znaczeniu wszechludzkiem.

Kwestja krystalizacji takiej idei pozostaje więc wciąż otwartą. I w usilnem poszukiwaniu jej kręcilibyśmy się w kółko w dalszym ciągu, gdyby nie świadomość, że ta wielka prawda słowiańska istnieje napewno, tuż obok nas, że nurtuje w nas samych, że wybucha z dzieł wszystkich wielkich duchów Słowiańszczyzny, historjozofów, mężów stanu, filozofów i poetów.

Ta wielka prawda dziejowa, ta idea, ten specyficzny słowiański pogląd na świat, tak mylnie dotąd rozumiany i tak fałszywie osądzany — to MESJANIZM.

Cóż to jest Mesjanizm?

Jest to—jeśli spojrzymy od zewnątrz—charakterystyczna postawa ducha słowiańskiego wobec rzeczywistości, której piętno odbija się wyraźnie na myślach i dziełach wszystkich niemal wybitnych przedstawicieli genjuszu narodów słowiańskich. Jest to dalej — jeśli spojrzymy od wewnątrz— olbrzymia, syntetyczna idea, mieszcząca w sobie pewien ściśle określony pogląd na istotę rzeczywistości, istotę człowieczeństwa, wreszcie istotę dziejów. Potencjalnie zawiera ona w swej jedni cały, niezmiernie szeroko rozgałęziony systemat pojęć filozoficznych, poetyckich i religijnych, oraz zasad naukowych, prawno - politycznych, społecznych i t. d., jakie składają się na życie duchowe ludzkości. Analizując tę jednię, można z niej wyprowadzić wyraźny kształt przyszłej ery, przeciwstawiającej temu, co dzisiaj *jest* — to co jutro *być powinno*.

Mesjanizm słowiański jest więc potężnym gmachem prawd i koncepcyj dziejowych, trudno dostępnym dla tych, co — niezdolni do ogarnięcia wzrokiem ogromu — ślizgają się po powierzchni i czepiają szczegółów. Aby go zgłębić, trzeba najpierw pojąć, że stanowi on jednolitą całość, oraz odgraniczyć i poklasyfikować należycie wszystkie jego działy, szczeble hierarchiczne i warstwy. Potem dopiero można odróżnić to, co jest w nim nieistotnym nalotem i ma wartość jedynie rapsodyczną, od jego granitowych zrębów, na których spoczywa.

Wielu sądzi, że mesjanizm jest światopoglądem przestarzałym. Nie rozumieją oni, że wiek takich koncepcyj liczy się na tysiąclecia, że zatem — wprost przeciwnie — jest to ideologja nawskroś nowa, olśniewająca świeżością i rewelacyjnością swych prawd, ideologja, której aktualność dopiero się zaczyna i jej prawdziwe znaczenie ujawni się dopiero w przyszłości.

Możnaby jednak postawić pytanie, czy idea mesjaniczna ma zasięg globowy, pasujący ją na *prawdę powszechną*, czy też posiada zabarwienie lokalne, rasowo słowiańskie. Otóż mesjanizm jest doktryną o charakterze najbardziej uniwersalnym, jaki tylko może ogarnąć umysłowość ludzka. Niema w nim ani cienia szowinizmu narodowego lub plemiennego. Każda jego myśl, każda koncepcja odnosi się do całej ludzkości, której wszystkie elementy i żywioły ujmuje on i kojarzy w związek harmonijnie organiczny.

Aby uniknąć nieporozumień, trzeba zaznaczyć, że mesjaniczność zachodnich i południowych narodów słowiańskich nie skrystalizowała się nigdzie w tak doskonałej postaci, jak w Polsce; mesjanizmy: czeski, serbski, chorwacki i t. p., choć potencjalnie już głębokie, nie uformowały się w doktrynę. Znacznie wyżej stoi pod tym względem mesjanizm rosyjski, ale i on, poza Sołowjewem, nie posiada wysokiej klasy umysłowej. Dlatego ośrodkiem i najwyższem piętrem mesjanizmu słowiańskiego jest mesjanizm polski, reprezentowany przez całą falangę myślicieli i poetów; mówiąc więc o doktrynie mesjanicznej, jako o idei i prawdzie powszechnej, zdolnej do zaktualizowania się w dziejach, należy mieć na myśli przedewszystkiem to, co wydała w tym zakresie Polska.

Mesjanizm polski jest:

1) w filozofji — spełnieniem niemieckiej filozofji transcendentnej, czyli rozwiązaniem problematów przez nią dla myśli ludzkiej założonych;

2) w religji — spełnieniem doktryny Chrystusowej, t. j. wcieleniem chrześcijaństwa w życie społeczne i polityczne ludzkości (Królestwo Boże na ziemi), oraz rozwiązaniem postawionego ludziom przez Chrystusa problemu nieśmiertelności indywidualnej;

3) w sztuce — spełnieniem celowości metafizycznej Piękna, t. j. objawieniem estetycznem ABSOLUTU w samorzutności rozumu twórczego człowieka; ideał sztuki okazuje się tu tożsamy z ideałem samej rzeczywistości wszechświata.

Na innem miejscu rozważymy, czy i o ile mesjanizm może się stać podstawą ideową przyszłej Unji Słowiańskiej.

PAWEŁ TYCZYNA

Z tomu „Plug".

Madonno moja...

I.

Madonno moja, po wiek sławiona codzień,
Marjo, poczęta bez zmazy,
u naszych opustoszałych ołtarzy
wiatr chodzi...

Przejdź ponad nami z nardu czaszą,
zalkaj nad zgliszczy dymem: —
my cię już nigdy nie pochwalimy psalmem, ni pieśnią naszą...

— Kobieta mocna, dziewa nieczysta
zstąpi na światy.
Naga — jak naga — bez rąbka szaty
czaruje oczy — róża stulistna.

Schyl się, Madonno, tu, na przyczółek
chaty ostatniej w siole.
Uśmiechnij się i idź przez role,
oganiając się od kul jak od pszczółek...

II.

Oto śpiewają
nowego imienia sławę
(Kalino moja,
Maria, ave).

Idzie, roześmiana:
Życie. Kwiat.
Słońce na skrzypcach —
obłok spadł.

Na biodrach jak strunach
dłoni gest:
bywaj, dzieweczyno,
czyjaś jest.

Powiem — nie powiem:
wszystkich i twoja....
(Ave, Maria,
Kalino moja).

III.

Madonno moja, Matko Przeczysta,
błękitny ty mój kwiecie,
oto wstępuje w nowe stulecie
dusza czysta.

Miast lilij z niebios
różę całują wargi.
Jak Piotr Chrystusa, mimo skargi,
nie mogę zaprzeć się Ciebie.

Z kimże się młodość moja przebudzi
i w jakiej chwili.
Czy nie będziemy się już modlili
za miłość i za ludzi.

Dzwoni żelazo. Milczą betony.
Lato za latem przelotem.
Dźwięczże mi w sercu, Marzenie złote,
przeróżnym tonem...

IV.

Nie z głazów, nie z marmuru —
— proste żelazo —
— słodka, beztrwożna,
gdzież szata twa.

Gdzie suknia złotem tkana,
ból masz w spojrzeniu. —
Dzwonna — hosanna —
multanka gra.

Do nocy będziem w polu
pracować jak w świątyni.
Dojrzewaj — śpij,
łan żyta wiór ci da.

Ze śpiewem, z pocałunkiem
wyjdą po nas madonny.
Potem... jak młotem...
nad piersiami sen...

Tłumaczył J. Czechowicz.

PAWEŁ TYCZYNA

Nie patrz na mnie...

Nie patrz na mnie tak życzliwie,
jabłonkowo - tkliwie.
Jak pszenica zorzy runo:
smutki ku mnie suną.

Nie kochaj mnie jedwabiście,
Sokoło — świetliście.
Róże kwitną popod wschodem —
ma się na pogodę.

Popod wschodem grają burze —
ma się na łzy duże!
Wstał już ojciec i mateczka:
— Gdzieżeś, jaskółeczko?

— Na ławeczce, w ogródeczku,
u lubych kwiateczków!
Cóż im powiem? Chyba słowo:
Kwietno — jabłonkowo...

Spolszczył J. Czechowicz

L. MOSENDZ

Z „Dni podjebradzkich"

...Zatrzymał się w bezsilnej złości,
kredę rozkruszył w palcach rąk,
bo warknął motor w wysokości,
rozdarł wykładu wartki prąd.

Dlaczego, mistrzu mój uczony,
pauzę znaczy gniewny ruch?
Twoim to wzorcem jest natchniony
zwycięsko mknący w chmurach duch.

A integralu mowa twardo
w motorze pieśni taktem brzmi.
Czy możesz sławę bardziej hardą
pomieścić w słowach swych bez krwi?

Zamilknij... chwilę...niech zdaleka
doleci skrzydeł prężny puls!
Ta sama pieśń i na nas czeka
nad morzem ukraińskich pól.

Spolszczył H. Zasławski.

M. BAŻAN

Nocny rejs

Równo się wije
po morzach ślad:
żeglarskie linje —
szramy od szpad.
Pada z pirackiej czarnej fregaty
cień — nienawistny, zły i skrzydlaty.
Przez mórz obłudnych przepływa nurty,
ponuro pędzi wzdłuż ciemnej burty
rozległy wicher żołnierzy
i ludzi śmiałych wiatr,
krzyczący jak albatros wśród lin.
Pręży się łukiem arbaletu —
jest prosty niby cios sztyletu,
jest surowy, mroczny, chropawy —
na nożu korsarza plamy rdzawe.

Spolszczył J. Czechowicz.

Tragizm poety

Tyczyna Paweł, którego pierwsza książka ukazała się w r. 1917 p. t. „Słoneczne klarnety", jest poetą, który waży wiele w literaturze ukraińskiej. Od niego bowiem rozpoczyna się nowa poezja tego narodu, poezja wielkości walki o ziemię, o siebie, o państwo i mit.

Niewielka objętością książeczka była pierwszą wielką rewizją ustosunkowań przeprowadzoną żywiołowo i z rozmachem, choć może bez metody.

To tak, jakby ktoś po chorobie westchnął całą piersią.

Książka przesycona jest muzyką, poszczególne wiersze albo są kilkakroć bardziej śpiewne od ukraińskiej pieśni ludowej, albo wogóle przelewają się przez brzegi poezji tworząc słowomuzyczną jakąś sztukę. W tych wierszach szaleją assonanse, onomatopeje, alliteracje, jak błyskawice liryki czystej. Wizje plastyczne tłomaczy Tyczyna po swojemu, na dźwięk, a dźwięki piętrzy w kryształowe góry. Zgubił się rozmiar antyczny, przepadł gdzieś tak zwany wolny wiersz, zostały szumiące, dzwoniące, śpiewające żywioły, przewalane siłą poetycką w okresy muzyczne i strofy nierównomierne.

Zagubienie się w chaosie aformistycznym trwało niedługo. Z samego natężenia talentu poety wynikało, że musi on dojść do zrozumienia zagadnień ładu poetyckiego i konstrukcji. Drugi jego tom p. t. „Pług", wydany w r. 1919 wykazuje przy temże co poprzednio bogactwie muzyki, pracę uświadomioną artystycznie. Toczą się pułki karnych zdań, spięte rozkazem woli poetyckiej i dziwnie ukształtowanem uczuciem patrjotycznem. Małaniuk określa ten patrjotyzm Tyczyny jako „hypnotyczny nacjonalizm".

W tomie znajdują się majstersztyki poety: „Na mogile Szewczenki", „Psalm żelaza" i „Madonno moja".

Tragizm wielkiego ukraińskiego poety — a każdy wielki poeta jest tragiczny — leży w tem, że zbyt duża była dysproporcja między tem czem mógł być, a tem — czem chciał być. Możliwości artystyczne tej struktury psychicznej wyczerpywały się niemal bez reszty w „Słonecznych klarnetach". Chaos, nawet rozumiejący potrzebę ładu nie przeobrazi się, bowiem przestałby być chaosem. Świadomość artysty gnała Tyczynę ku zaprzeczeniu samego siebie. Ruch ten widoczny jest w linji jego twórczości: po „Pługu" ukazuje się zbiorek wierszy nierymowanych pod kapryśną nazwą: „Zamiast oktaw i sonetów". W tej książce każdy utwór składa się ze strofy i przekornej antystrofy. Całość ujmuje to, co można (z wielkiem ryzykiem być niezrozumianym) nazwać systemem lirycznym jednostki. Tom, podobnie jak „Słoneczne klarnety" jest jakgdyby poza literaturą ukraińską. Nie wyrósł z niej, niema żadnych korzeni w przeszłości, jest światłem jednostki jedynej i niepowtarzalnej. Nowa próba osiągnięć artystycznych w dziedzinie organizowania żywiołu poetyckiego, p. t. „Wiatr z Ukrainy" ukazuje wyraźne skazy na gmachach sztuki Tyczyny.

Burzliwe życie wewnętrzne poety urwało się wodospadem. Jak Rimbaud porzuciwszy wiersze ruszył do Afryki w kraj karawan, bogactw i handlu, tak Tyczyna uwierzył bolszewizmowi i przepadł bez reszty w pracy społecznej na Ukrainie Sowieckiej.

Elektryczność może być piorunem, elektryczność może i w latarkach świecić.

Malarze Ukrainy Sowieckiej w IPS

Wystawa Sztuki Sowieckiej w Instytucie Propagandy Sztuki, dała wyraźnie do zrozumienia, że Rosja przeżyła w ciągu lat ostatnich bardzo wiele. Ludowa sztuka rosyjska, zgodnie z procesem socjalnym przeobraża się w urbanistyczną w założeniu sztukę dla ludu, dla mas. „Jaskrawa kierunkowość ideologiczna" podkreślana we wstępie do katalogu wystawy nie stanowi o tem sama przez się. Od podejścia, od formy, tematu, charakteru linij bije krzyk nowej urbanistycznej sztuki. Najmocniej opiera się nowym prądom grupa malarzy z Ukrainy Sowieckiej: Azowskyj, Petryckyj, Grygorjew, Pawłenko. Są to przeważnie obrazy spokrewnione z francuskim i rosyjskim impresjonizmem, oraz zbliżonemi doń kierunkami. W ramach tych technik artyści ukraińscy pracują śmiało, z zacięciem i rozmachem znamionującym rzeczywistą pasję twórczą. Specjalną uwagę zwraca grafika ukraińska, w której przodują świetny ilustrator Kassjan, twórca znakomitych exlibrisów Krawczenko, Uzunowa, Pustowijt i Sedlar.

Są to dusze twórcze w pętach reżimu i ideologji argumentowanej już nie łopatą, ale naganem. I kto wie, może dlatego zdrowie i tężyzna ukraińskich artystów pcha ich ku starszym prądom sztuki, że tych właśnie prądów reżim imperjum sowieckiego nie popiera...

EUGENJUSZ MAŁANIUK

Napis na tomie wierszy

Naprężony, niezłomnie — hardy,
Żelaznych imperator strof, —
Wiodę te wiersze, jak kohorty,
W oblicza twórczych katastrof.

Poza mną — zburzony Baturin
W pochmurnych łunach kłamnych chwał, —
One metalem — morituri —
Surmią przyszłości swój hejnał.

Twarde są muskularne stopy
I prężny odbijają jamb, —
To jawy, ale nie utopij
Dzwoni gromowy dytyramb.

Ot — błyskiem — buławę bogatą,
Graniastą wyrzuca przed się:
To nie jest lot, ale już atak
I on zasłonę rozerwie.

W strzępach opadną mroki głuche
I ty, — potomku mój — zgłębisz — —
Jak ksiąg wielowiekowe prochy
Rozewrze się bezkresów niż.

Zgłębisz więc to, czem serce biło,
Jakich to zórz dojrzałem bieg,
Czemu sztyletem był mój stylos
Czemu stylosem bywał sztylet.

* * *

Babilon był i Assyrja,
Minęły jak sen, jak dym.
I teraz pod ruinami tleją,
Tysiącoletnie ślady.

Huczały, przemijały epoki
Kataklizmów i katastrof
Pozostały imiona bogów
W klinopisach zatartych strof.

I na bronzie i na mosiądzu
Widać ostry pazur czasu.
Tak. Sic transit gloria mundi
I na mądrość i na krasę.

Cykl się zamknie i — w nicość mglistą
Potoczy się — i przepadnie,
Bo każdemu dniu wszak jest bliski
Tylko jego, zły jego gniew.

Tłumaczył Ludomir Rubach.

Mechanika niebios

Bóg jest wielkim geometrą — myśl ta Platona, wypowiedziana zresztą w nieco innych wyrazach już przez Pitagorasa, stanowiła credo naukowe Kopernika, Keplera i innych wielkich matematyków. Dziś ją powtarza J. Jeans, dla którego kosmos jest wyrazem raczej wielkiej myśli matematycznej, niż wielkiej koncepcji mechanicznej. Bóg aktem myśli twórczej stworzył wszechświat z niczego i ukształtował go podług wzorów matematycznych; Bóg jest wielkim matematykiem, nie zaś inżynierem.

Jeżeli pobudowa świata została dokonana podług jakiegoś wzoru matematycznego, w takim razie wszystkie szczegóły konstrukcji są przewidziane i kosmosem rządzi doskonały ład. Toteż jeden ze współczesnych astronomów, zgłębiający tajemnice mechaniki niebios (Stramberg ze słynnego obserwatorium na Mount Wilson) powiedział, że, im dokładniej poznaje ruchy ciał niebieskich, tem mocniej utwierdza się w przekonaniu, że istnieje powszechne prawo, rządzące ruchem we wszechświecie, i że lokalne pola przyciągania są uzależnione od tego prawa. Prawo to reguluje ruch gwiazd analogicznie do zarządzeń policjanta, regulującego ruch uliczny w wielkich miastach. Wszelako postulowany ten ład we wszechświecie nie daje się uchwycić zapomocą wzoru matematycznego, i klasyczna mechanika niebios ucieka się dotychczas do sił zakłócających. By zrozumieć, dlaczego i jak to się stało, musimy wyjaśnić, co stanowi przedmiot mechaniki niebieskiej, nauki, zapoczątkowanej przez Newtona (1643 — 1727) a ziszczonej, w swej klasycznej postaci, przez Laplace'a (1749 — 1827).

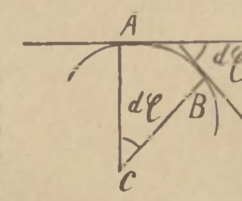
W próżnej przestrzeni mamy *n* ściśle oznaczonych punktów materjalnych a, b, c, d..., których masy odpowiednie niech będą A, B, C, D..., i które podlegają wzajemnemu przyciąganiu podług prawa Newtona (t. j. wprost proporcjonalnie do iloczynu ich mas i odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu ich odległości); punktom tym nadajemy impulsy, t. j. prędkości, oznaczone co do wielkości i kierunku. Mamy znaleźć dalszy przebieg ruchów tych punktów, t.j. wyznaczyć w pewnym czasie ich miejsca w przestrzeni oraz ich prędkości (co do wielkości i kierunku). Otóż, posługując się rachunkiem różniczkowym, możemy napisać t. zw. równania różniczkowe ruchu, lecz nie możemy ich rozwiązać (scałkować). Rozwiązać umiemy tylko w wypadku dwóch ciał (problemat planetarny, — prawa Keplera); zagadnienie trzech ciał dotychczas pozostaje bez rozwiązania, które zasadniczo jest możliwe. — Pozornie mogłoby wydawać się że, skoro znamy ruchy dwóch ciał, możnaby łatwo stąd przejść do wyznaczenia ruchów trzech ciał. Lecz tak nie jest, i powiązanie działania trzeciego ciała z dwoma innemi, których wzajemne działanie zostało wyprowadzone bez uwzględnienia wpływu trzeciego ciała, które jednakowoż oddziaływało na ustosunkowanie tamtych dwóch, wikła nas w błędach i stawia wobec trudności nie do przezwyciężenia.

Jeżeli w punktach a i b znajdują się dwa ciała, których masy są A i B, i jeżeli nadamy im pewne prędkości, obraz ich ruchu będzie taki: środek ciężkości dwu tych ciał, znajdujący się na linji, łączącej te ciała, posuwać się będzie ruchem jednostajnym po linji prostej, ciała zaś obracać się będą podług praw Keplera dokoła tego środka ciężkości, t. j. każde poruszać się będzie po jednem z przecięć stożkowych, w których ognisku znajdować się będzie środek ciężkości. Ruch każdego ciała oraz całego systematu wyznaczony będzie na wieczyste czasy. W wypadku trzech ciał również zachodzić będzie ruch jednostajny środka ciężkości po linji prostej, atoli ruch samych ciał względem środka ciężkości pozostaje nam do dziś dnia nieznany i poddaje się tylko przybliżonemu wyznaczeniu na pewien okres czasu. Tak tedy problemat trzech ciał pozostaje dotychczas nierozwiązany, a matematycy probowali swych sił na rozwiązywaniu nieco uproszczonych zagadnień tego rodzaju (np. przyjmowano dwa ciała lub jedno jako umocowane); dla astronomji te dociekania nie miały znaczenia, lecz w dziedzinie czystej matematyki przyczyniły się do zdobycia ważnych twierdzeń (t. zw. twierdzenie dodawania w teorji eliptycznych funkcyj). Lecz astronomja ma do czynienia nietylko z dwoma, czy trzema ciałami, lecz ze znacznie większą ich liczbą. Położenie astronomów byłoby zaiste rozpaczliwe, gdyby sama przyroda nie stanęła z pomocą i nie podsunęła zagadnienia bardziej uproszczonego: w naszym systemacie planetarnym drogi planet znajdują się niemal w tej samej płaszczyźnie, masy zaś planet w porównaniu z masą słońca są bardzo małe; w tych warunkach prawo powszechnego ciążenia przynosi astronomom wielkie ułatwienia.

Ale samo prawo Newtona, już przez to, że empiryczne, podnieca nasz umysł badawczy i stawia nas wobec zapytań: 1) czy jest ono istotnie powszechne, 2) czy nie da się wyprowadzić a priori, 3) czy prędkość rozchodzenia się ciążenia jest nieskończona, czy skończona, w czem sam Newton był chwiejny (t. zw. spór o „actio in distans" czy „vis a tergo", 4) czy nadana przez Newtona prawu grawitacji statyczna forma nie da się zastąpić formą różniczkową, bardziej odpowiednią ujmowaniu zjawisk przyrody.

To też już Kant w r. 1786 podjął rozważanie istoty ciążenia w dziele swem: „Metaphysische Anfangsgründe der Naturwissenschaft" (Pierwsze podstawy metafizyczne przyrodoznawstwa). Zagadnienie to sprowadza do rozważania samych pojęć materji i siły, bowiem, zgodnie ze swym krytycznym aprioryzmem, uznaje, że powiązanie tego, co w zjawiskach zachodzić może w absolutnej całości, samo nie jest dostrzegalnem i może być tylko wynikiem działalności umysłu. Istota materji wyraża się w ustosunkowaniu sił przyciągania i odpychania, jako niezbędnych do pobudowy materji *). Z jednej siły nie można skonstruować materji: przy działaniu samego tylko przyciągania materja skupiłaby się w jednym punkcie matematycznym, przy działaniu odpychania materja rozbiegłaby się w nieskończoność; tylko pod działaniem dwu tych sił mogą zachodzić zjawiska materjalne (z jednej strony, ważkość albo masa, z drugiej — wypełnienie przestrzeni, nieprzenikliwość); zmiana stanu materji może odbywać się tylko pod wpływem przyczyn zewnętrznych.

Z rozważań tych Kanta wychodzi Hoene-Wroński przy dedukcji swego Prawa Najwyższego mechaniki niebieskiej, by przyoblec je następnie w szatę algorytmiczną, mającą wyrazić ustosunkowanie dwu sił, utrzymujących ciała niebieskie w równowadze: siły przyciągającej czyli czynnej łączącej (która nadaje materji jej substancję, jej niejako indywidualność, — jest to element - byt) i siły odpychającej czyli bezwładnej oddzielającej (która nadaje materji jej własność wypełniania przestrzeni, jej niejako dążność ku powszechności, — jest to element-wiedza). — Siła czynna łącząca G nie stanowi w ogólności samego ciążenia, chociaż nie jest wykluczony wypadek szczególny (jak to ma miejsce w naszym systemacie słonecznym), kiedy siła ta jest działaniem bezpośredniem grawitacji powszechnej i działa wówczas w stosunku odwrotnym do kwadratu odległości. Siła bezwładna oddzielająca H daje się mierzyć wielkością zmiany kierunku ruchu; z zasady bezwładności wynika, że siła ta jest prostopadła do linji, łączącej dwa ciała, t. j. do promienia wodzącego. Otóż, jeżeli przez dt oznaczymy różniczkę czasu, działanie siły czynnej łączącej G w ciągu czasu dt wyrazi się przez G. dt.



Pod działaniem tej siły, siła bezwładna oddzielająca zmieni swój kierunek pierwotny o kąt $d\varphi$ między stycznemi, równy kątowi między promieniami przy środku; lecz kąt ten może być zakreślony z większą lub mniejszą prędkością (wszelako stałą, bowiem zmiana kierunku zawiera się w $d\varphi$), przeto całkowite działanie wyrazi się przez $W. d\varphi$, gdzie *w* oznacza średnią prędkość w orbicie (w niektórych wypadkach może oznaczać maximum prędkości, w zależności od postaci, jaką może przybierać G). Stosunek dwu tych sił winien wyrażać się w równości permanentnej, przeto, pamiętając, że dwa te działania są wprost przeciwne sobie, napisać możemy

$$G. dt = - w. d\varphi$$

Prawo to najwyższe mechaniki niebieskiej, sprzęgające siłę, czas i przestrzeń, jest tak ogólne, że Wroński z niego wyprowadza nie tylko prawa Keplera i Newtona, lecz wszystkie prawa mechaniki niebieskiej (7 praw elementarnych i 4 prawa systematyczne, zgodnie ze swem Prawem Stworzenia), dające się stosować do badania budowy Drogi Mlecznej i mgławic, lecz nadto wyprowadza znaną zasadę dynamiki ($G. dt = dv$), przyjmowaną dotychczas przez jednych za fakt doświadczenia, zaś przez drugich, bardziej subtelnych, za rzecz umowy.

Nie mogąc wchodzić tu w dalsze rozwinięcia podstawowego wzoru, nadmienimy, że problemat trzech ciał w mechanice H.-Wrońskiego daje się traktować inaczej, niż w mechanice klasycznej, i zatrzymamy się tylko na pewnym wzorze, pełniącym funkcje kosmicznego policjanta, o którym mówił Stramberg. Wzór ten dotyczy permanentnej stałości albo, raczej, zasady perjodyczności wszystkich ruchów, tak w naszym systemacie słonecznym, jak i w innych systematach, czyli wogóle we wszechświecie. Wzór ten, nazwany przez Wrońskiego „moderatorem powszechnym", mający po pierwszej stronie **) iloczyn (pw), gdzie p jest parametrum, zależnym od wielkiej półosi orbity i od mimośrodu, w — znaną już prędkością średnią, wyraża permanentną stałość równowagi pomiędzy dwoma siłami przeciwstawnemi G i H, tak że ilość (pw) podlega tylko wahaniu perjodycznemu, którego okres daje się wyznaczyć.

Powaga Laplace'a była tak wielka, że Hoene-Wroński, pomimo swego genjuszu, umarł w nędzy, nie doczekawszy się uznania swych pomysłów, — powiedział F. Folie na posiedzeniu Belgijskiej Akademji Umiejętności w r. 1892. — O mechanice niebios H. Wrońskiego prawie nie wspominano za życia jej twórcy. Toteż wielką zasługą francuskiego astronoma Yvon Villarceau, członka Instytutu, było, że wykazał doniosłość pomysłów Wrońskiego w odczycie, wygłoszonym na posiedzeniu Biura Długości w r. 1881 oraz w pracy o metodach Wrońskiego, ogłoszonej w r. 1882. Wkrótce potem (w r. 1882) belgijski astronom Ch. Lagrange ogłosił swoją pracę o mechanice niebios Wrońskiego w Pamiętnikach Belgijskiej Akademji Nauk. — Zainteresowanie się mechaniką niebios Wrońskiego spotykamy następnie u Hiszpanów.

W r. 1899 Federico Villareal (1850 — 1923), prof. uniwersytetu w Limie (stolicy Peru), światły mąż i zasłużony działacz społeczny, któremu wdzięczni obywatele Rzeczypospolitej Peruwjańskiej wznieśli piękny pomnik na jednym z placów w Limie — zapoznawszy się z filozofją absolutną Hoene-Wrońskiego za pośrednictwem, o ile wiemy, Polaka, inż. Edwarda Habicha, dyrektora szkoły inżynieryjnej w Limie, przetłumaczył mechanikę niebios Wrońskiego na język hiszpański. — Uznanie dla pomysłów Wrońskiego i cześć dla ich twórcy Villareal przekazał uczniowi swemu dr. Godofredo Garcia, profesorowi uniwersytetu i szkoły inżynierji w Limie, który prace swego nauczyciela posunął znacznie naprzód, ogłaszając szereg artykułów z zakresu mechaniki niebios Wrońskiego w czasopiśmie naukowem: „Revista de ciencias", oraz osobno następujące prace: 1) La Reforma de la Mecanica Celeste. Comentario y ampliacion de las investigaciones de Wronski y Villareal, Lima, 1922; 2) Contribucion al estudio de la Mecanica celeste, Lima, 1924; 3) La Reforma de la Mecanica celeste de Hoene-Wronski, demonstrada por nuestra ecuacion fundamental de la Mecanica, explicando la construccion mecanica del Universo entero, Lima, 1931. Ponadto, wykryte przez Wrońskiego prawo astronomiczne, mające jak zaznaczyliśmy wyżej, znaczenie dla całej mechaniki, stosuje prof. Garcia do „astronomji atomu", wyprowadzając z jednego ze wzorów Wrońskiego, w artykule p. t. „Orbitas electronicas en la mecanica clasica" (Revista de ciencias, 1927, Nr. 1—3) podstawowy wzór teorji kwantów.

Czytelnik zapewne chciałby wiedzieć, co zrobiono u nas dla mechaniki niebios H.-Wrońskiego. Otóż, prawie nic. Podał to prawo najwyższe Bukaty w „Panteonie" Trentowskiego, wspomniał o pomysłach astronomicznych Wrońskiego Dickstein, nieco obszerniej omówił J. Krassowski (ob. „Wektor", 1911, Nr. 5). — Nemo propheta in patria sua. Norwid gdzieś powiedział, że właśnie Polska wykaże się [illegible] tego powiedzenia i otoczy swych mędrców największą czcią i uznaniem. Oby tak było. Rzeczywistość dnia dzisiejszego bardzo jest mroczna. — Mechanika niebios — to jeden z bezcennych klejnotów w spuściźnie po Wrońskim. Drugim klejnotem jest Filozofja matematyki, dzieło jedyne w tym zakresie w całej wszechświatowej literaturze. Złożony przez nas w r. 1925 w Kasie im. Mianowskiego (*Instytut popierania twórczości polskiej*) przekład „Wstępu do Filozofji matematyki", dzieła podstawowego dla matematycznej części doktryny Hoene-Wrońskiego, nie może ujrzeć światła dziennego, chociaż prośbami i nalegamiem dokuczyliśmy tym, którzy mają głos w sprawach wydawniczych wspomnianej Kasy. Tymczasem we Francji dokonano przed siedmiu laty wspaniałej reedycji w 4 tomach wszystkich dzieł matematycznych Hoene-Wrońskiego (wcześniejszego okresu twórczości) i przystąpiono do wydania dzieł filozoficznych. Fiat lux... in Polonia!

Paulin Chomicz.

———

*) Istnienie siły odpychającej we wszechświecie przypuszczał już Heraklit; przypisywanie odkrycia tej siły astronomowi rosyjskiemu Bredichinowi wydaje się bardzo spóźnionem.

**) Drugiej strony nie piszemy „by nie przerażać czytelników nieobeznanych z wyższą matematyką, kabalistycznemi znakami rachunku całkowego. Ob. rozprawę naszą: „Teorja względności Einsteina w świetle filozofji absolutnej H.-Wrońskiego".

Apologja znachora

J. E. Skiwskiemu w odpowiedzi (II)

Motto:
„Za mało jest ryczeć z talentem:
Trzeba mieć rozum".
(A. Słonimski: Kontrmarsz).

Pisze p. Skiwski, że cechą naczelną umysłowości Boya „jest przywiązanie do faktu, wiara w fakt, kierowanie się w swoich posunięciach najprostszemi wymaganiami życia". Tymczasem „Zet" z wyżyn swej „konfidencji z absolutem" spogląda pogardliwie na fakty, odpowiadając na nie, że „wszystko jest z ducha"; otóż — powiada p. Skiwski: „dziś to już nawet nie jest zaślepienie — jest to poprostu błazeństwo".

Jeżeli jednak postępowanie nasze jest błazeństwem, to postępowanie p. Skiwskiego, upraszczającego cały trud ideowy „Zetu" do frazesu: „wszystko jest z ducha" — jest czemś gorszem jeszcze. Jeśli zaś nasze traktowanie współczesnych zjawisk społecznych jest „nie-życiowe", to tryb rozumowania o nich p. Skiwskiego jest przerażającym bezsensem. Zobaczmyż bo do czego on prowadzi?

Boy jest wielbicielem faktu. Cóż to jest fakt? Coś, co już się stało, zostało już dokonane. Czy jednak stało się to ni stąd, ni zowąd, spadło z nieba? Nie, albowiem twórcami faktów społecznych są ludzie. Cóż więc jest ważniejsze: fakt, czy ci co go tworzą? Od kogo trzeba zaczynać każdą reformę, która ma być skuteczna: od faktów czy od ludzi?

Na to proste pytanie Boy, jako wyznawca faktu — odpowie: od faktów!; zaś my jako wyznawcy rozumu twórczego — odpowiemy: od ludzi! Bo przecież to, co już jest, nie da się już odmienić, a to co dopiero będzie, zależy od przyszłych czynności ludzkich. Jeśli tedy hasłem „Zetu" jest kształtowanie nowego typu człowieka któż nie przyzna, że jedynie to stanowisko jest realne i logiczne.

A teraz owe „wymagania życia". Przedewszystkiem trudno o większy ogólnik, jak „życie", śmieszna jest tedy wiara Skiwskich i Boyów w ten abstrakcyjny fetysz, skoro walczą oni tak zajadle z ogólnikami. Dalej: jak p. Skiwski udowodni nam, że coś jest więcej lub mniej „życiowe", skoro nie wie on wogóle, co to jest życie? (Jeśli zaś wie, to prosimy pokornie: niech wytłómaczy!, niech nie kryje światła pod korcem, czyli swego genjuszu metafizycznego w „Tygodniku Illustrowanym"!).

Choćby jednak Boy i Skiwski znali się naprawdę na tych „najprostszych wymaganiach życiowych", odpowiemy im, że choć one takie „proste", nie łatwo je w równie prosty sposób *zaspokoić*. Takich uszczęśliwiaczy ludzkości, jak Boy, był już legjon, nietrudno bowiem apelować do żądz i instynktów zwierzęcia ludzkiego; w każdym razie znacznie łatwiej niż do sumienia i rozumu. Recepty takich znachorów społecznych były istotnie bardzo proste: znieść wszystkie ograniczenia i prawa, niech każdy bierze, co chce i robi to, co mu sprawia przyjemność! Ale skąd będą *wszyscy* brać, gdy nikt nie będzie *dawał?* I jak nasycić swoje egoistyczne pożądania, jeśli nie kosztem innych ludzi? A to prowadzi z logiczną oczywistością, do ruiny, samounicestwienia i wojny wszystkich przeciwko wszystkim.

Recepty takie nic nie zbudują, a wszystko zniszczą. Nic nie uleczą, a wszystko zakażą jak dżuma. Dlatego autorzy ich są największymi wrogami ludzkości, i powinni być zamykani w więzieniach i domach warjatów, tem bardziej, że przewrotna ich demagogja trafia do przekonania (a raczej do ślepego instynktu) nie umiejącego logicznie myśleć tłumu.

Kto jest bardziej „życiowy" i kto jest większym dobroczyńcą człowieka: ten, co rozdmuchuje w nim pragnienia, których nie będzie mógł zaspokoić, czy ten, kto przenosi punkt ciężkości jego zainteresowań i pragnień w inną sferę, gasząc samo ognisko cierpienia, a rozniecając dążności, których zaspokojenie jest *w nich samych?* (wiadomo, że kto czyni dobro, docieka prawdy i tworzy piękno — ten w samych tych czynnościach znajduje maksimum radości i zadowolenia).

Skiwski rozumie dobrze pozytywność ideologji „Zetu", zaznacza bowiem, że program nasz to wychowanie nowego człowieka, pyta jednak szyderczo: „jaki system środków, jaką maszynę działania należy zmobilizować, aby człowieka niedoskonałego uczynić doskonałym". Szyderstwo to trafia w próżnię: od odpowiedzi na to pytanie *nie zamierzamy się uchylać!* Wielkie dzieło tworzy się wielkiemi środkami i nie z dnia na dzień. Ale każdy czyn, prowadzący ku temu dziełu, wart jest więcej, jest bardziej realny i życiowy, niż bezpłodne i hałaśliwe miotanie się tysiąca znachorów w rodzaju Boya.

Gdyby p. Skiwski chciał i umiał czytać, znalazłby w każdym numerze „Zetu" przynajmniej jedną cegiełkę tego wielkiego dzieła. Każda stronica naszego pisma mówi o tym „systemie środków" i o tej „maszynie działania". Ale wy „oczyma patrząc, nie widzicie; uszyma słysząc, nie słyszycie".

Cała historja jest grą właśnie o to, by człowieka niedoskonałego uczynić doskonałym. P. Skiwski źle celuje, bo strzelając w nas — *w historję strzela.* A historja większa jest i rzeczywistsza od niego, skoro on sam jest tylko maleńkim pionkiem w jej rękach. Nam dość, że jesteśmy z nią w zgodzie. I z tej równoległości naszych dążeń z celem najwyższym dziejów, czerpiemy przeświadczenie, że my zostaniemy, a Skiwscy i Boye przeminą.

Skiwski przyznaje łaskawie idealizmowi pewną rolę w życiu. Pisze przecież: „W tem, co nasi idealiści... nazywają *tworzeniem ponad siebie* — widzę trafną formułę dla właściwej dynamiki rozwoju ludzkości". Dodaje też, że to „robienie rzeczy niepotrzebnych... jest samo przez się objawem *najżywotniejszej* i najwyższej funkcji duchowej człowieka". A więc jednak „najżywotniejszej", nieprawdaż mój panie? Więc pocóż ośmieszać i szkalować działalność „Zetu", skoro dąży ona do rozbudzenia w człowieku tak żywotnych i wysokich funkcyj duchowych? I czy funkcje te wolno — bez sprzeczności — nazwać „robieniem rzeczy niepotrzebnych"?

Ale może Skiwski uważa nas za idealistów niższej rangi, za tych, do których odnosi się akcja Boya, jako „niezrównanego tępiciela tandety idealistycznej". Jeżeli tak, to byłoby poniżej naszej godności legitymować się przed nim ze stopnia, jaki zajmujemy w tej idealistycznej hierarchji. Znajdą się inni, bardziej powołani od Skiwskich, którzy to kiedyś osądzą.

Jednakowoż uczciwość nakazuje dopatrywać się w artykułach Skiwskiego jeszcze innej tendencji. Zaznacza on mianowicie kilkakrotnie, że broni Boya, ponieważ ten konfrontuje idealizm z życiem. „Dzięki Boyowi idealizm widzi, przez jaki las przeszkód musi się przebić, aby w dzisiejszym świecie obronić swój honor". Ukazuje on idealistom „jaki ładunek odpowiedzialności na sobie dźwigają" i „jak groźnym próbom muszą poddać swój idealizm, jeśli chcą, by jego zbroja mogła się ostać ciosom życia".

Otóż:

1) Nie idealizm winien obronić swój honor wobec świata, ale dzisiejszy świat, pełen plugawych łajdactw, stoi przed idealizmem, jako przed *sądem historji*, wobec którego niełatwo mu będzie obronić i oczyścić swój zaszargany honor.

2) Jeśli nawet Boy spełnia tę pożyteczną rolę, to rolę podobną spełnia właśnie *zło*, dzięki któremu dobro widzi „przez jaki las przeszkód musi się przebić". Mimo to *biada złym*, bo dzieje się to wbrew ich woli, a tylko naskutek mądrego zrządzenia opatrzności. Oni sami myślą o czemś zupełnie innem, jak o spełnianiu pożytecznej roli, dlatego osądzają się sami. Uczynki ich idą za nimi i pędzą ich w ruinę i zatracenie.

3) Co do odpowiedzialności, to sami dobrze wiemy, ile jej na sobie dźwigamy. Poczucia odpowiedzialności nie będziemy się uczyć od *nieodpowiedzialnych* podpalaczy ładu moralnego, lecz od swego własnego sumienia. Podobnie postaramy się sami, by nasz idealizm „swoją zwycięską postawę wylegitymował aż po ostatnią kreskę przed trybunałem rzeczywistości".

Po całej tej argumentacji trudno mi jednak nie wyjawić oburzenia, jakiem przejmuje mnie bezczelny protekcjonalizm, z jakim p. Skiwski klepie po ramieniu „idealistów" i ich działalność w ludzkich dziejach. Historja dała nam już, Bogu dzięki, tyle przykładów potęgi i żywotności owego idealizmu, że płaskie gadulstwo o „fikcjach" „oderwaniu od życia" „bujaniu o duchu", świadczy już tylko o nizinach umysłowych, w jakich przebywa autor tych epitetów. Gdyby nie to bujanie o duchu i absolucie, z którem szli do ludzkości Chrystus i Plato, Kartezjusz, św. Tomasz i Kant, p. Skiwski skakałby dotąd po dżungli najpierwotniejszych instynktów i zwierzęcego, tępego prymitywizmu. Czołem przed temi istotami, mój panie!

Ani jedno zdanie, wypowiedziane przez Skiwskiego o filozofji niemieckiej niema właściwie sensu. Najpierw znowu ten arogancki protekcjonalizm: „Mimo całej niechęci do myśli niemieckiej, niechęci której nie próbuję tu maskować, oceniam jej dociekliwość, jej zawiłe tragiczną sumienność". „Ta potrzeba wydedukowania wszystkiego z najwyższych założeń, choć prowadzi najczęściej do *wspaniałych bredni* — bywa jednak płodna w wyniki (a jednak bywa?! — *przyp. mój).*

Nie mogę się tu powstrzymać od złośliwej rozkoszy paru dalszych cytatów:

„Niemiecki najazd filozofji na życie (znowu to życie! — *przyp. mój)* zabija trafność obserwacyj, topi we mgle *frazesu filozoficznego* najprostsze fakty życiowe". „Myśl niemiecka — to zlaicyzowana, rozrzedzona teologja, wiecznie odnawiana obietnicą ostatecznych rozwiązań, które nie następują. Irzykowski przenosi tę *niemiecką handrę* na grunt polski, na którym taki eksperyment nie może się nietylko powieść, lecz bodaj znaleźć słabego oddźwięku".

Ejże! więc sądzi pan, że udało się Boyom i Grydzewskim tak dalece już ogłupić Polskę, że ta — nie-niemiecka, lecz *ludzka — tęsknota do prawdy* nie przyjmie się na naszej glebie. Miejmy nadzieję, że pan się myli. Były i u nas filozofy, a jakże. A z rozdmuchiwaczami kołtuństwa będziemy umieli sobie poradzić.

Widzimy tu naraz Boya, Słonimskiego, Skiwskiego, i samego Grydza, wydawcę „Wiadomości seksualnych", w niespodzianej roli strażników ducha narodowego, zagrożonego zalewem filozoficznych spekulacyj. Cóż za wzruszający widok! „My nie damy naszych kochanych Krakowiaków i Górali. Nie pozwolimy ich nabrać na jakieś tam myślenie, na niezdrowe handry metafizyczne. Niech żyje zdrowie narodowe! Niech żyje „życie ułatwione", sterylizacja mężczyzn i nierząd płciowy"!

Ale dość żartów. Chcę wytłumaczyć p. Skiwskiemu pewną rzecz, której nie rozumie. Pisze on z zachwytem, że we Francji ludzie podzielili się wyraźnie na ludzi wierzących i na tych, którzy kontentują się zdrowym rozsądkiem i obywają się bez wiary; jego zdaniem tak być powinno. Tymczasem Niemcy próbowali znaleźć coś pośredniego między filozofją świecką a teologją kościelną; i „w tem tkwi beznadziejność niemieckiej myśli filozoficznej, a raczej niemieckiego filozofującego religjanctwa".

Otóż p. Skiwski, jak widać, nie rozumie, że ów stan rozdwojenia we Francji jest w stosunku do niemieckiej próby — szczeblem niższym. W metafizyce niemieckiej widzimy naturalną dążność do harmonji dwu najwyższych funkcyj rozumu: filozofji i religji; oczywiście dążność ta pojawia się tam tylko, gdzie rozwój rozumu (ducha ludzkiego) zaszedł już bardzo daleko. We Francji filozofja i religja *jeszcze* się rozszczepiają, w Niemczech *już* są sharmonizowane. Polska stoi na najwyższym szczeblu w tej kolejności dziejowej: t. zw. filozofja mesjaniczna, to właśnie całkowita *tożsamość filozofji i religji.*

A teraz do spraw drugorzędnych:

Skiwski twierdzi, że „Zetowców" łączy z Boyem wspólna wiara w doktrynę, w możność przymusowego niejako narzucenia ludzkości zbawienia" (cóż za niekonsekwencja, przed chwilą my byliśmy doktrynerami, a Boy trzeźwym wyznawcą życiowego faktu; teraz słyszymy, że Boy — też doktryner! — *przyp. mój).* Wydaje mi się jednak, że paralela ta jest nieprzyzwoita. Jest chyba różnica między „wiarą" w doktrynę filozofji absolutnej, rozwiązującą wszystkie najwyższe problemy rzeczywistości — a boyowską wiarą w doktrynę „życia ułatwionego", polegającego na swobodnej wymianie seksualnej.

Skiwski gniewa się na radykalne potępianie Boya, który przecież w swoim feljetonowym zakresie jest publicystą zdolnym i pożytecznym. Ależ nikt mu zdolności nie odmawia! I niechby utrzymał się w tych feljetonowych ramach, a nie brał się do reform społecznych, do rewolucji w moralności. „Można odrzucić hedonistyczne założenia Boya" — pisze Skiwski, a rozpatrywać go na platformie czysto literackiej. Otóż nie, nie można! Człowiek stanowi całość, nie można go rozkładać na części.

Obowiązkiem krytyków jest — zdaniem Skiwskiego — abstrahować od tego, co autor robi, a oceniać tylko, czy robi to umiejętnie, czy niezdarnie. Ale takie bezpłciowe, bezinteresowne rozpatrywanie twórczości Boya, graniczyłoby z obłędem. Jeśli kto przychodzi podpalać mój dom, nie wolno mi poprzestać na bezinteresownej ocenie, czy on tę czynność wykonuje dobrze czy źle. Odpowiedź moja może być tylko jedna: „stój, bo strzelę"!

Ważąc zasługi Boya znajdujemy 95 proc. szkody, a zaledwie 5 proc. pożytku. Mówimy tedy: „Zważonyś na wadze — i znalezionyś lekkim"...

Dobrze jest walczyć z obłudą. Ale jeżeli ten kto z nią walczy jest sam mistrzem obłudy, jeśli głosi naprawę moralności, a dąży do jej zniszczenia, jeśli podszywa się pod miłość bliźniego a poluje na autoreklamę i pornografję — jeśli w dodatku w obronie tego walczącego z obłudą obłudnika, występuje jeszcze jeden obłudnik — mamy już tego dość, zaczynamy protestować i krzyczeć.

Co do kwestjonowanych przez Skiwskiego ustępów artykułu: „Atakujemy Boya!" to:

1) Istotnie nie jesteśmy zwolennikami lekkości. Owa przysłowiowa lekkość francuska pochodziła stąd, że przedstawiciele myśli francuskiej z epoki Oświecenia mieli lekkie i puste głowy. Ciemności i zawiłości, którą zarzuca się metafizyce, trzeba szukać nie w niej, lecz w mózgach tych, którzy biorą się do niej gnuśnie i bez przygotowania. Dlatego to Kant przyjął to motto dla swojej filozofji krytycznej: „Ignavum fucos pecus a praesepibus arcent" (Leniwe plemię trutniów od ulów odpędzają).

2) Nielogiczność zdania o klerykalizmie i braku religijności w Polsce, ustąpi natychmiast, jeśli p. Skiwski przeczyta sobie dokładnie cały ustęp, z którego wyrwane jest to zdanie.

J. Braun.

Analiza Formy muzycznej

W artykule poprzednim wprowadziłem podział na muzykę *autonomiczną* o przewadze formy nad treścią i *heteronomiczną* o przewadze treści (w danym wypadku elementów emocjonalnych) nad formą. Mieszczą się te dwa typy muzyczne w ogólnej hierarchji twórczości, którą klasyfikuję według stosunku formy do treści. Muzyka heteronomiczna należy do typu przejściowego twórczości, przy której dla wyrażenia treści zewnętrznej użyte są środki formalno - estetyczne, ale które nie są celem same w sobie, jak to się dzieje w muzyce autonomicznej i wogóle w Sztuce Czystej. Otóż chodzi mi o wykazanie, że w obu tych typach muzyka odznacza się największą przewagą elementów formalnych w porównaniu z innemi odmianami twórczości tego samego typu. Jeśli chodzi o muzykę heteronomiczną, wskazuje na to chociażby jej treść — uczucia życiowe, ale jak najogólniejsze i to wyrażone w sposób niedokładny. W stosunku do treści innych typów twórczości heteronomicznej, jak np. architektura, plastyka realistyczna i t. d., treść muzyki, odtwarzającej uczucia, jest bez porównania mniej „realna" i uchwytna. Wprawdzie literatura np. powieść może przedstawiać najbardziej subtelne stany psychiczne, opisuje je jednak bardzo dokładnie i jednoznacznie, podczas, gdy w muzyce odtwarzane stany emocjonalne są wyzute z wszelkiej konkretyzacji, są niejako uczuciami abstrakcyjnemi. Z konieczności ta „nieuchwytność" treści sprawia, że, nawet w tym typie muzyki, w którym jeszcze treść jest istotą, elementy formalne mają znacznie większą samodzielność i znaczenie, niż w innych sztukach heteronomicznych. Kompleksy formalne, chociaż wyrażają w muzyce heteronomicznej uczucia, łączą się ze sobą wyłącznie według praw estetyczno-formalnych. Nie obowiązują ich pod tym względem ani związki logiczne[1]) ani np. „prawidłowość perspektywy i światłocienia" jak w malarstwie realistycznem, ani „prawda psychologiczna", jak w powieści. Nikt nie zauważy nawet psychologicznej nienormalności najbardziej niespodzianych zmian nastrojów w muzyce; przeciwnie kontrasty te potęgują wrażenie emocjonalne. Zwracam na to uwagę, że w takich wypadkach właśnie czysto formalno - estetyczne połączenie elementów treściowo-uczuciowych wywołuje spotęgowanie wrażenia emocjonalnego.

Widzimy więc, że nawet przy rozważaniu muzyki heteronomicznej od strony treści, musimy stwierdzić wielką rolę, jaką w niej odgrywa forma. Tembardziej ta przewaga formalna muzyki nad innemi sztukami da się stwierdzić przy porównaniu tych sztuk z punktu widzenia formy, co będzie miało znaczenie zarówno dla muzyki autonomicznej jak i heteronomicznej.

Jedną z głównych cech wyróżniających Formę muzyczną jest jej *maksymalna autonomiczność*, która się wyraża w tem, że nietylko ogólne ukształtowanie tej Formy zależy wyłącznie od swoich własnych praw, ale również i środków, któremi ta Forma się posługuje, nie czerpie ona zzewnątrz. Elementy formalne najprostsze są oczywiście, jak w każdej sztuce materjałem zewnętrznym: poszczególne dźwięki w muzyce, punkty kolorowe w malarstwie i t. d. Są to niejako atomy, z których się kształtują najprostsze kompleksy formalne, ale właśnie dopiero te kompleksy — najprostsze kształty w plastyce, harmonja, tonacja i t. d w muzyce, słowa wraz z ich zawartością pojęciową, obrazową i dźwiękową w poezji — są właściwem tworzywem dzieła i sztuki. *Otóż o ile plastyka i poezja czerpią te najprostsze kompleksy formalne zzewnątrz, o tyle muzyka posługuje się środkami istniejącemi tylko dla niej i tylko przez nią: harmonja, tonacje w świecie zewnętrznym nie istnieją i nie dadzą się wyprowadzić z żadnych zasad heteronomicznych względem muzyki.*

Różnicy tej nie trzeba ujmować w sensie zupełnie absolutnym. Zarówno jak kształty, któremi się posługuje plastyka nie są żywcem czerpane z natury[2]), podobnież i kompleksy harmoniczne i tonacyjne w muzyce nie są całkowicie niezależne od praw fizycznych. W obu wypadkach mamy do czynienia z pewnym wyborem środków materjalnych danych z zewnątrz, wyborem, który umożliwia bezpośrednią, niezależną od analizy pojęciowej, odczuwalność i *porównywalność* ze sobą tych środków[3]). Jednakowoż plastyka posługuje się kompleksami, które już istnieją w świecie zewnętrznym, natomiast muzyka sama sobie kształtuje elementy wypowiedzi formalnej. Ilościowo procent autonomiczności muzyki w dziedzinie środków formalnych jest bez porównania większy, niż w innych sztukach[4]).

Sprawia to, że prawidłowości utworu muzycznego nie można „sprawdzić" przy pomocy żadnych środków zewnętrznych. Przy słuchaniu dzieła muzycznego ma się wrażenie, jakoby się było w sferze całkowicie innej, niż zwykły widzialny i dotykalny świat, w sferze mającej niejako inny czas i inną (albo właściwie żadną) przestrzeń. Miara czasu muzycznego jest niewspółmierna ze zwykłym czasem. Sfera ta rządzi się swemi własnemi prawami i jedynie przy zachowaniu tych praw, których jednak nie można logicznie uzasadnić, wogóle istnieje. Chociażby niewłaściwe tempo, w którem się wykonuje dany utwór (wszystko jedno czy za wolno, czy za szybko) rozbija tę jego „nieprzenikliwość", jako jakiegoś innego systemu doznawań, chociaż stosunki trwań poszczególnych dźwięków pozostają te same, wracamy wówczas do naszego zwykłego świata czasoprzestrzennego, ale też słyszymy już tylko pewne współbrzmienia, których trwania bezwzględne możemy zmierzyć, ale które już się nie łączą w żadną całość i w których nie czujemy żadnych wiążących je praw.

Drugą zasadniczą cechą tej „innej rzeczywistości", którą jest muzyka, jest jej *asubstancjonalność*. Jest to bodaj jedyna dziedzina, gdzie bezpośrednio, konkretnie odczuwamy czyste stosunki matematyczne. W plastyce mamy stosunki kształtów, a więc konkretów bez porównania bardziej „substancjonalnych" niż dźwięki, które są same przez się integracją psychologiczną ilości drgań. Strona fizyczna dźwięków jest tak ukryta, że stosunki, jakie odczuwamy pomiędzy tonami zupełnie nie odpowiadają stosunkom, jakie zachodzą pomiędzy ilościami wibracyj. Przy słuchaniu muzyki nie docieramy zupełnie do tego, co w niej jest substancjonalne, odczuwamy tylko pewne sprzęgnięcia, napięcia, dynamizmy, istniejące same przez się, gdyż nie czujemy *co* jest sprzęgnięte, *co* się znajduje w ruchu i t. d. Każdy poszczególny dźwięk jest niczem i nabiera dopiero znaczenia, gdy odczuwamy jego związek funkcjonalny z innemi dźwiękami; każdy więc najmniej znaczący element muzyczny musi już być *stosunkiem*. Pomimo to jednak, że odczuwamy niejako tylko „puste" stosunki, nie jest muzyka dla nas czemś abstrakcyjnem, dającem się jedynie przez analizę pojęciową zrozumieć. Czujemy te związki funkcjonalne jak najkonkretniej[5]), niejako empirycznie. W muzyce nigdy nie mamy do czynienia z sumą części, co implikowałoby pewną „przedmiotowość", ale tylko ze stosunkami, pozwalającemi zachować zależności funkcjonalne w uniezależnieniu od elementów substancjonalnych. Muzyce obce są zupełnie wszelkie wyobrażenia związane z bezwzględną pozycją nieruchomego „twardego" punktu wyjścia i wszelkie określenia (wysoko, nisko, prędko, wolno i t. d.), są zasadniczo względne. Przez to materjałem muzyki nie są *dźwięki* (o wysokości określonej przez ilość drgań w jednostce czasu, i bezwzględnej długości trwania), a *tony* (których wysokość i trwanie mają tylko znaczenie w związku z innymi tonami).

Zasadniczą przyczyną tej asubstancjonalności jest brak aspektu przestrzennego w muzyce. Żadna rzeczywistość konkretna i poznawalna nie może być pozbawiona obu koniecznych aspektów czasowego i przestrzennego. Chodzi tylko o przewagę jednego nad drugim w danym konkrecie. Substancjonalność jednak jest związana przedewszystkiem z aspektem przestrzennym. Dźwięki jako takie również nie są całkowicie wolne od determinacyj przestrzennych, któremi naprzykład będzie lokalizacja danego brzmienia w przestrzeni: odległość tego brzmienia od nas możemy ocenić na podstawie samych wrażeń słuchowych. Jednak determinacje te nie grają żadnej roli w muzyce; dla muzyki, jako sztuki, ważny jest tylko stopień natężenia danego dźwięku, obojętnem zaś jest na ile to zależy od oddalenia i od kierunku, z którego dźwięki idą. Niektórzy chcą wprowadzić moment przestrzenności do muzyki w inny sposób: o ile *następstwo dźwięków*, melodja, ma być aspektem *czasowym* muzyki, o tyle jej aspektem *przestrzennym* będzie *jednoczesność* brzmienia, harmonja. Jednakowoż w obu wypadkach chodzi o pojęcia czasowe; jednoczesność możemy najwyżej pojmować, jako czas, spełniający niejako funkcję przestrzeni, której cechą jest właśnie brak następstwa w czasie. Jest to niejako odmiana czasu analogiczna do przestrzeni, ale nie przez to jeszcze przestrzenią. Można się podobnemi porównaniami posługiwać, gdyż pozwala to „plastycznie" ujmować różnice między melodją i harmonją, ale nigdy nie trzeba zapominać, że chodzi tu tylko o aspekty czasowe[6]).

Wprawdzie ze wszystkich sztuk jedynie plastyka jest naprawdę statyczna i przestrzenna. Poezja podobnie jak muzyka rozwija się w czasie, ale jako sztuka złożona ma znacznie większą zawartość elementów przestrzennych i elementy te — strona obrazowa poezji — są istotnym czynnikiem artystycznym, nie mniej ważnym, niż elementy czasowe w poezji — jej strona muzyczna — oraz elementy pojęciowe, znajdujące się niejako poza czasem i przestrzenią. W muzyce zaś wyłączna istotność jednego aspektu czasowego — aspektu zasadniczo dynamicznego — wywołuje przesunięcie roli decydującej z dźwięków na ich związki i dopiero te związki (a więc forma) są jedyną realnością muzyczną ważną dla estetyki. (C. d. n.).

Konstanty Régamey.

---

1) Jasnem jest przecież, że tak zwane formy klasyczne jak sonaty, fugi i t. p. są tylko pewnym najdoskonalszym schematem tradycyjnym, ale nie posiadają bynajmniej absolutnej mocy obowiązującej.

2) Por. artykuł Karola Homolacsa „Zasada kształtowania formy w sztuce plastycznej" „Zet" Nr. 21, gdzie autor stwierdza, że plastyk dla oddania najzawilszych kształtów zewnętrznych posługuje się zawsze tylko kilkoma zasadniczemi linjami geometrycznemi (linjami prostemi, łukami koła i linjami zwojowemi), których prawidłowość można odczuć bezpośrednio, gdyż są one odzwierciedleniem naszych idei przestrzennych. W tem sprowadzaniu faktów zewnętrznych do wymagań wewnętrznych tkwi właśnie moment autonomiczny.

3) Zagadnieniem tem kształtowania najprostszych kompleksów formalnych w muzyce zajmę się później szczegółowo.

4) Sprawa ta w poezji jest bardzo skomplikowana wskutek złożoności jej najprostszych składników, ale i tu przewaga elementu autonomicznego jest mniejsza, niż w muzyce.

5) Człowiek o rozwiniętem wyczuciu muzycznem, nie będzie miał żadnych trudności w zrozumieniu i konkretnem odczuciu współczesnych teoryj fizycznych, sprowadzających wszelką substancjonalność do zależności funkcjonalnych.

6) Wspomniałem już w artykule poprzednim, że muzycy mogą ujmować całe dzieło muzyczne „przestrzennie", słyszeć je jednocześnie, sprowadzać je całe do jednej chwili. W odczuciu podobnem tkwią istotnie pewne wyobrażenia wzrokowo - przestrzenne, związane albo z widokiem tego utworu w nutach, albo też z jego rozłożeniem na danym instrumencie (inaczej „widzi" dźwięki wysokie i niskie pianista, inaczej skrzypek, jeszcze mniej przestrzennie śpiewak i t. d.) . Są to jednak asocjacje wtórne i nieistotne dla danego odczucia w jednej chwili całości dzieła, rozwijającego się w czasie.

Odczucie to samo przez się najwyżej może się znajdować w przestrzeni „wewnętrznej", niewzrokowej. Chodzi tu jednak o ogólną ideę dzieła muzyki, która w tym aspekcie „jednoczesnym" oczywiście nie występuje przy słuchaniu.

Książki i czasopisma

Czesław Miłosz: Poemat o czasie zastygłym. Wilno 1933. Wydawca: Koło Polonistów U. S. B. str. 23.

Jerzy Zagórski: Ostrze mostu. Wilno 1933. Nakładem Koła Polonistów U. S. B. Str. 30.

Władysław Arcimowicz: Bibljografja *pism Norwida.* Ruch Literacki — marzec 1933. Str. 53 — 57.

Stefan Szuman: Psychologja młodzieńczego idealizmu. (Odbitka z pracy zbiorowej „Psychologja światopoglądu młodzieży"). Kraków 1933. Nakł. Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego. Str. VIII i 211.

Jerzy Marlicz: Bractwo białego lamparta. Opowieść kolonjalna. Poznań 1933. Nakład. Księg. św. Wojciecha. Str. 428.

Poesie (kwartalnik r. II, z. 1): Kazimiera Iłłakowiczówna: Marsz żałobny; Emil Zegadłowicz: Balada o bezkydském dratenìku kuternohovi; Miguel de Unamuno: O poevropszteni; poezje: Antonio Machado, Juan Ramon Jiménez; Horacio Guiroga: Po proudu; Azorin: Zavrzeny dum; Willy Haas: Calderón neboli sen w divadle; Zdenek Szmid: Gabriela Mistralova; John Keats: Versze; Henri Bremond: cista poesie; Frantiszek Lazecky: Hluboké poledne; Zdenek Vavrzik : Basne; Vlad. Vanczura: Guy de Maupassant; Jan Zahradniczek: Poesie; Jan Strakosz: Harmonie jako porzadajici princip dokonale basne; Poesie: T. A. Springer, Jan Dokulil; Jan Strakosz: Tabu v' souczasné literarni kritice.

Poesie (r. II nr. 2): Kaz. Iłłakowiczówna: Obrazki z podróży po Czechosłowacji: Józef Wittlin: Styl Wyspiańskiego; J. A. Gałuszka: Basne; Jar. Zavada: Dva srbszti lyrikové, Jovan Duczić: Basne: Milan Rakić: Basne; Al. Blok; Versze; Percy B. Shelley: Basen; Paul Claudel: Czekarna; M. Dragomirescou: Basnické vnimani a intuice; Willy Haas: Calderón neboli sen v divadle: Zdenek Szmid: Góngoruv vliv na spaneskou lyriku stoleti XVII; V. Martinek: Dech domova: Fr. Holas: Tisze; Zdenek Szmid: Odjezdy; Fran. Hrubin: Basne; Jan Dokulil: Basne; Jar. Zavadil: Basne: Jan Strakosz: Harmonia jako porzadajici princip dokonale basne; Prameny poesie: Jan Czep, Vilém Zavada, V. Rencz, Romano Guardini; Poznamky.

Grafika (r. III z. 1): Jan Stebnowski: Historja druku map w zarysie (25 reprodukcyj); Wład. Skoczylas: Drzeworyt (11 reprodukcyj); J. Moszkowicz: Technika Woj. Instytutu Geograficznego; J. Procházka: Przeszłość i teraźniejszość drukarstwa w Czechosłowacji; Z wystawy druków i grafiki czechosłowackiej (11 reprodukcyj). Kronika.

Biuletyn polsko - ukraiński (kwiecień 1933): Stan. Łoś: W sprawie uniwersytetu ukraińskiego; Iwan Kedryn: Istota traktatu ryskiego ; J. Iskierka: „Związek sowiecki i niepodległość Ukrainy"; J. Stojan: Na tematy kulturalno - historyczne; Włodz. Bączkowski: Rozważania teoretyczne na temat kwestji ukraińskiej i Polski współczesnej; B. Słowańskyj: Polsko-ukraiński flirt wolnościowy przed 100 laty; B. Antonenko-Dawydowycz; Śmierć (wyj. z powieści).

Ruch pedagogiczny (kwiecień 1933): M. Odrzywolski: Główne założenia bihewjoryzmu: dr. M. Friedländer: Idea koedukacji i jej realizacja (dok.); H. Rowid: Analiza współczesnych metod nauczania; L. Bandura: Próba nowej szkoły w Gnaszynie pod Częstochową; recenzje, kronika.

Gazeta Literacka (maj 1933): St. Cywiński: O niejasności Norwida; J. Mondschein: Nieznany strażca słowa; Otto Forst-Battaglia: Współczesna proza niemiecka (II); A. Bunsch: Na granicy dwóch światów; J. A. Frasik: Norwida pamięci Rapsod dumny; Jerzy Braun: Polacy i żydzi na tle dziejów; K. L. Koniński: Wojciechowski edukowany; W literaturze Nic — w języku Nitsch; W. Gorecki: Zapomniane filmy; A. K. Woycicki: Europejski sukces debjutu polskiego dramaturga; książki; Poezje.

Varia

Tomasz Mann, laureat Nobla, kończy wielką trylogję p. t. „Józef i jego bracia".

„Dante żywy" — oto tytuł nowej książki G. Papiniego. Dzieło to ma być „odbronzowaniem" wielkiego poety włoskiego.

Program Kongresu Historyków Sztuki mającego się odbyć w Sztokholmie w sierpniu b. r., zawiera wykaz około 200 zgłoszonych referatów.

Wystawienie „Macbetha" w teatrze poświęconym Szekspirowi w Stradforte-on-Avon (Anglja) w skrajnie nowoczesnej inscenizacji wzbudziło w Anglji wielką sensację. Reżyserowała Rosjanka, Komisarzewska. Dekoracje z aluminium oświetlały kolorowe światła. Aktorzy mieli na sobie mundury niemieckie z czasów wielkiej wojny, a Macbeth—pikelhaubę. Duch Banka był tylko olbrzymim cieniem samego Macbetha.

We Lwowie zostanie otwarta w najbliższych dniach wystawa afisza francuskiego, obejmująca eksponaty od w. XVII po dzień dzisiejszy. Wystawę tę urządza Miejskie Muzeum Przemysłu artystycznego we Lwowie i paryskie Association d'expansion et dechanges artistiques. Association d'expansion urządziło dotychczas 60 wystaw i 227 przedstawień teatralnych i koncertów w 52 krajach i 155 miastach. Obecna wystawa jest drugą z rzędu, urządzoną w Polsce.

Zmarł we Lwowie prof. Br. Gubrynowicz, znany historyk literatury, autor szeregu prac z tej dziedziny („Romans w Polsce za czasów St. Augusta", „Kazimierz Brodziński, życie i dzieła" i in.), oraz redaktor „Ruchu Literackiego" i „Pamiętnika literackiego".

Nagrodę literacką miasta Łodzi przyznano Andrzejowi Strugowi. W związku z tem omówimy na łamach „Zetu" jego trylogję p. t. „Żółty krzyż".

Nagrodę Tow. Lit. i Dziennikarzy otrzymał Ant. Ossendowski.

Malarstwo Witkiewicza

St. I. Witkiewicz jest w życiu umysłowem Polski zjawiskiem ze wszechmiar godnem uwagi. Malarz i powieściopisarz, jest on przedewszystkiem rasowym filozofem, cała zaś jego tak dziwna, niepokojąca, czasami drażniąca a przecież świetna twórczość artystyczna jest jakby koniecznym wynikiem zmagań jego filozoficznej myśli. Myśl zaś jego nie chodzi utartemi szlakami szkolnej filozofji. Może dlatego Witkiewicz jako artysta i jako myśliciel jest odosobniony, tak, że słusznie nazwał go prof. Szuman artystą bezdomnym.

Wystawa jego portretów, urządzona w Krakowie w ubiegłym roku, poza świetnemi i głęboko w istotę jego sztuki wnikającemi studjami Szumana, wywołała w prasie cały szereg ironicznych i uszczypliwych uwag, świadczących o najzupełniejszem niezrozumieniu twórczości tego artysty. Próżnoby również szukać jego nazwiska na łamach fachowych pism, poświęconych filozofji.

Zapewne sztuka nie może być filozofją a filozofja sztuką. Jeżeli jednak w jednym umyśle złączy się dziwnym tratem *eros* filozoficzny z *erosem* sztuki, wtedy powstają dzieła niezwykłe. I może być, że właśnie dlatego dzieła Leonarda da Vinci pozostaną na długie czasy niedościgłemi arcydziełami, że tworzył je nietylko wielki artysta, ale również i wielki myśliciel o niezwykle głębokiem na świat spojrzeniu.

Oczywiście nie można Witkiewicza porównywać z genjuszem tej miary co Leonardo. Jego dzieła malarskie nie dają wrażenia tej niezamąconej harmonji i doskonałego piękna, jakie wioną ku nam z płócien Leonarda. Wręcz przeciwnie, są one wyrazem wielkiego, jakby metafizycznego niepokoju, pełno w nich dysonansów, zgrzytów, kaprysów i dziwactw. Są one bowiem wynikiem epoki pełnej sprzeczności i pełnej antynomij. Mimo to a może właśnie dlatego, są one pełne czaru. I jeżeli za jedno z zadań sztuki będziemy uważać dążenia do wyprowadzenia duszy ludzkiej poza konkretny świat materjalny, jeżeli powiemy za Conradem, że celem sztuki jest „wykrycie prawdy, ukrytej w rzeczach pod rozmaitemi pozorami", to portrety Witkiewicza musimy uznać za pełnowartościowe dzieła sztuki. Jeżeli zaś, jak to zdaje się wyznaje wielu krytyków Witkiewicza, przyjmiemy, że zadaniem sztuki jest jedynie kopjowanie konkretnie nam danej materjalnej rzeczywistości, to oczywiście pod tym kątem rozpatrywane, dzieła Witkiewicza muszą nam przedstawiać się jako nonsens. Ale też ten materjalny świat nie jest jedynym światem, który może być przedmiotem dzieła sztuki. Poza nim bowiem istnieją światy wizyj i rojeń twórczych, które mają swój odrębny porządek i odrębną logikę.

Ilekroć wpatruję się w dzieła Witkiewicza, przychodzą mi na myśl słowa znakomitego fizyka i astronoma Eddingtona, który w swej książce „The nature of the physical world" dochodzi do wniosku, że świat, który jest przedmiotem fizyki, jest właściwie światem cieni i światem mar. Symbole bowiem, któremi operuje fizyk, owe pola grawitacyjne, kwanty i potencjały, nie mają żadnego odpowiednika w świecie materjalnym, który widzimy i którego dotykamy. Jeżeli chcemy, twierdzi Eddington, wniknąć w teorje nowoczesnej fizyki, musimy oddalić od siebie jaknajbardziej wszelkie wyobrażenia, z któremi zżyliśmy się w codziennem życiu. Jeżeli zaś tego nie będziemy w stanie zrobić, to — zdaniem Eddingtona, — teorje fizyki będą nam się przedstawiały jako śmieszne wymysły.

Mam wrażenie, że podobny wypadek zachodzi również ze sztuką, reprezentowaną przez Witkiewicza. Bo również i sztuka jest próbą przedarcia się wgłąb Nieznanego, od którego odgradza nas zator Matetrji — tylko, że mówi ona do nas innym językiem niż język matematycznych symboli. Sztuka Witkiewicza zaś — jak mało może jaka inna — jest wyrazem przeżycia filozoficznego czy jak też kto woli nazwać, metafizycznego. Jest ona wynikiem długotrwałego, uporczywego łamania się ze sceptycyzmem i dociekania tego, co jest ostatecznem, zasadniczem jądrem naszej osobowości.

Według zapatrywań Witkiewicza, świat cały w swojej ostatecznej strukturze przedstawia się jako wielość osobowości, wielość monad. Materja w jego ujęciu nie jest tem, co jest najbardziej zasadniczą realnością, gdyż nie poznajemy jej bezpośrednio, tylko zapomocą pewnego systemu znaków.

Sztukę Witkiewicza można uważać jako niezwykle pod względem artystycznym świetny wyraz tego filozoficznego przeżycia. Twarze jego bowiem nie robią wrażenia twarzy, ulepionych z substancji materjalnej. Do niedawnych czasów jeżeli artyści chcieli przedstawić na obrazach swoich jakieś zjawy niematerjalne, używali na ogół do tego celu rozmaitych mniej lub więcej konwencjonalnych znaków. I tak np. wszystkie zjawiające się duchy miały przeważnie b. blade twarze i były odziane w zwiewne białe szaty. Znaki te były mniej więcej stałe w granicach poszczególnych szkół czy też epok. Witkiewicz odrzuca tę prostą i naiwną symbolikę. Zapomocą pewnej właściwej mu techniki daje on nam nie człowieka rzeczywistego, ale jego wizję. W obrazach jego ciała stałe, zatracają to, co na pozór jest ich najbardziej charakterystyczną cechą: ich stałość i nieprzenikliwość. Wszystkie twarze jego, od najbardziej wykrzywionych maszkar, aż do najbardziej uduchowionych, robią wrażenie, jakby wyłoniły się na chwilę z jakiegoś kosmicznego eteru, w który za chwilę znowu się mają rozpłynąć. Wszystkie jego portrety drgają, mienią się i jakby promienieją. Wprowadzają one nas w inny świat, który jest daleko od nas a przecież tak blisko nas, odsłaniają nam one jakby stare jakieś, przywalone zwałami niepamięci pokłady duszy. Kto nie chce się oderwać od świata codziennego, temu świat wyczarowany przez Witkiewicza będzie się wydawać śmiesznym i pełnym nonsensu, podobnie jak teorje fizyki będą się wydawać śmiesznemi dla tego, kto nie chce oderwać się od wyobrażeń codziennego życia. Kto jednak odważy się na ten skok, ten musi poddać się urokowi jego dzieł. Ktoś powiedział, że portrety Witkiewicza przypominają jakby studja psychoanalizy, bo podobnie jak one obnażają niemiłosiernie duszę ludzką.

Nie mógłbym się zgodzić z tem porównaniem. Psychoanaliza Freuda w swej klasycznej postaci jest wypływem materjalistycznego światopoglądu, który najbardziej uduchowione dobra kultury stara się wytłómaczyć działaniem instynktu seksualnego. Słynna podświadomość Freuda przedstawia się tak, jakby jakieś więzienie, w którem szamoczą się uwięzione przez wymogi kultury instynkty seksualne i tylko od czasu do czasu dają znać o sobie naszemu świadomemu „ja", przyczem posługują się zakonspirowanym, tajemniczym kluczem. (Jak wiadomo, Freud chlubi się, że go odcyfrował).

Umysłowi Witkiewicza obcą jest podobna symplistyczna psychologja.. Nie Freud, ale, oprócz Eddingtona, inny znakomity myśliciel przychodzi mi na myśl, kiedy wpatruję się w jego obrazy: Hans Driesch i jego nauka o entelechjach. Driesch jak wiadomo, ku wielkiemu zgorszeniu wielu prawowiernie myślących przyrodników, stara się udowodnić, że rozwojem istot organicznych rządzą nie siły mechaniczne, lecz pewne siły niematerjalne i nieprzestrzenne, tak zwane przez niego za Arystotelesem, entelechje. Sztuka Witkiewicza przedstawia mi się jakby jakaś wizja owych entelechij, kierujących gdzieś z mrocznych głębin naszem ciałem i naszą jaźnią. Lecz, że Witkiewicz waży się w swej twórczości na rzeczy przechodzące siły ludzkie, dlatego często ogarnia go zniechęcenie i dlatego w dziełach jego pełno jest zwątpienia i dysonansów. I dlatego jest on i pozostanie na długo „artystą bezdomnym".

Adam Stawarski.

Piątkowe koncerty symfoniczne

28.IV. Usłyszeliśmy na tym koncercie poraz pierwszy wykonaną „Suitę kurpiowską" Michała Kondrackiego. Utwór ten składał się z trzech części, opartych na prześlicznych melodjach ludowych kurpiowskich; autor opracował je bardzo umiejętnie, starając się nie zamącić ich wartości naturalnych przez wtłoczenie w ramy konwencjonalnych tonacyj.

W rozwiązaniu tego trudnego problematu wykazał Kondracki dużo prawdziwego smaku; nie siląc się na ekstrawagancje, potrafił uniknąć szablonu i dał melodjom kurpiowskim oprawę oryginalną w najlepszem znaczeniu tego słowa. Najbardziej udaną jest część trzecia. Na wyróżnienie zasługuje pozatem fakt, że orkiestra, rozmyślnie pozbawiona instrumentów perkusyjnych, miała mimo to pełne i soczyste brzmienie.

Solistą tego wieczoru był znany i ceniony w Warszawie pianista Mikołaj Orłow, który wykonał dwa koncerty: II koncert Rachmaninowa oraz koncert A-dur Mozarta. Miałbym pewne zastrzeżenia co do interpretacji koncertu Rachmaninowa, w którym Orłow wcale nie uwydatnił szerokiego, męskiego rozmachu, cechującego ten piękny utwór, położył natomiast główny nacisk na stronę uczuciowo-marzycielską, co dało w rezultacie wrażenie pewnej rozwlekłości; w dodatku w momentach o większem napięciu dynamicznem orkiestra zanadto tłumiła pianistę, który nigdy nie odznaczał się wielką siłą tonu: tego zaś wieczoru szczególnie mało go było słychać. Niewiem, czy jest to winą fortepianu, czy zbyt głośnego akompanjamentu orkiestry — pamiętam jednak, że wykonanie tego samego koncertu przez Orłowa parę lat temu, nosiło cechy znacznie potężniejszej, męskiej gry.

Wszystkie zalety Orłowa, jako pianisty: nieskazitelna technika, nadzwyczajny umiar i smak artystyczny i prześliczne brzmienie „piano" — ujawniły się dopiero przy wykonaniu koncertu Mozarta. Jedyny zarzut, jaki temu wykonaniu można postawić, dotyczy raczej dyrygenta niż pianisty: i tu również partja orkiestrowa brzmiała zbyt głośno w stosunku do fortepianu.

Pozatem na koncercie tym wykonano poraz pierwszy II symfonję Dukielskiego, z której słyszałem niestety tylko koniec, oraz znany już w Warszawie „Tryptyk" Łabuńskiego.

5.V. Koncert ten był wielkim triumfem słynnego pianisty francuskiego Roberta Casadesus'a. Trudno spokojnie pisać o jego grze, porywającej słuchacza od pierwszych tonów i przez cały czas trzymającej go w niesłabnącem napięciu.

Technika jego przestaje poprostu zadziwiać, gdyż się wkrótce ulega wrażeniu, że dla niego niema nic niemożliwego do zagrania. Przytem, rozporządzając takiem bogactwem możliwości, niezwykłą głębią tonu zarówno w „piano" jak w „fortissimo" (którego nie może zagłuszyć nawet „fortissimo" orkiestry) i odznaczając się żywiołowym temperamentem, nigdy jednak nie pozwala sobie Casadesus na tanie efekciarstwo, na jakiś fałsz artystyczny. Dzięki jego wykonaniu koncert A-dur Liszta, nabrał młodzieńczych rumieńców i słuchało go się z prawdziwą przyjemnością, jako dzieła muzyki, a nie okazji do popisu wirtuozowskiego. Podobnie na podkreślenie zasługuje fakt bardzo ładnego wykonania (na bis) drobnych utworów Chopina, w którem nie było nic z tak zwykle rażącej u pianistów francuskich sztuczności.

Tym razem Casadesus wystąpił nietylko, jako pianista, ale również jako kompozytor. Pianistą jest on jednak znacznie lepszym. Gdy się słuchało jego koncertu, trudno się było opędzić wrażeniu, że wszystkie momenty dodatnie, zawdzięczamy raczej wykonaniu, niż samemu dziełu.

Nie brak temu koncertowi pięknych tematów, na wyróżnienie zasługuje ciekawe kontrapunktycznie ujęcie trzeciej części. Wogóle kontrapunktyczne traktowanie tematyki szczególnie pociąga kompozytora i wykazuje on w niem dużą umiejętność. Z tem wszystkiem brak jednak temu koncertowi jakiegoś wyraźnego indywidualnego oblicza, nie robi on wrażenia całości powstałej z natchnienia twórczego, poszczególne elementy powiązane są raczej mechanicznie. Chciał tu kompozytor, jak sam mówi, iść po linji Prokofjewa, ale żywiołowość jego, którą usiłuje wzmocnić przez kombinowanie fortepianu z „blachą", daleka jest od potężnej „pasji" kompozytora rosyjskiego; jest powierzchowna i raczej „nadrabiana" przez wykonanie. Pozwolę tu sobie jeszcze na uwagę o charakterze raczej sportowym: Casadesus dał dowód zupełnie niezwykłej wytrzymałości, wykonując z rzędu w jednej części dwa ciężkie koncerty i szereg wcale nie najłatwiejszych bisów.

Drugą część koncertu wypełniły dwa obrazy z „Harnasiów" Szymanowskiego. Przy wykonaniu tak długiego urywku na estradzie symfonicznej czuje się jednak, że jest to muzyka baletowa; bez sceny nie robi należytego wrażenia. Najwyższy już czas, abyśmy mogli usłyszeć i zobaczyć to piękne dzieło we właściwej oprawie.

Konstanty Régamey.

Odpowiedzi redakcji

Herman H. Kraków. „Czarny Orzeł". Przesłaliśmy do oceny redaktorowi „Kolumny poetyckiej".

P. H. „Resurge". Nie skorzystamy.

„Bard" Lwów. Jeszcze słabe. Z tych wierszy nie skorzystamy. Proszę nadesłać po pewnym czasie inne, nowe swe utwory.

Autorowi „Norwida". Redaktor kolumny poetyckiej nie zakwalifikował do druku.

Pani N. — Wilno. Odpowiemy obszerniej. Książki można nabyć w T-wie H. Wrońskiego.

Kronika poznańska

Na skutek długotrwałej bezczynności i stosunków, jakie wytworzyły się w Zw. Zaw. Lit. w Poznaniu, wystąpili ze Związku: Bąkowski, Brzeska, Kosidowski, Papée, Skiwski, Sobeski. Postanowili oni utworzyć nowy związek wespół z nowopowstałym „Klubem Literackim". Celem ostatecznego załatwienia tej sprawy zwrócono się do czynników miarodajnych w Warszawie.

*

Ostatnio daje się zauważyć wzmożony ruch kulturalny w Warszawie. Dwie grupy młodych literatów ,a mianowicie współpracownicy dawnego „Życia Literackiego" (t. zw. „Loża"). oraz istniejący od dwu lat klub poetów „Prom", wydający pismo pod tymże tytułem, utworzyły wspólną placówkę kulturalną p. n. „Klub Literacki w Poznaniu". Do zarządu „Klubu" weszli: dr. K .Troczyński, Wojciech Bąk, W. J. Kapuściński i Józef Kisielewski.

*

Pierwszą imprezą nowej organizacji był Wieczór Autorski (29.IV), w którym brali udział wszyscy członkowie „Klubu": Bąk, Balicki, Brodowska, Herbert, Kapuściński, Kisielewski, Kosko, Kraszewski, Latawiec, Morski, Połczyński, Popowska, Przyłuski, Troczyński, Ulatowski.

Impreza udała się w zupełności, mimo pewnego przeładowania programu, mającego prawie bez wyjątku wysoki poziom.

*

„Promethidion" (Akad. Koło Miłośników Sztuki) prowadzi nadal żywą wewnętrzną pracę kulturalną. Najowocniejszą działalność wykazują sekcje: literacka (kier. Allan Kosko) i malarska (Andrzej Milwicz). Kuratorem Koła jest prof. M. Sobeski.

Ostatnio zorganizował „Promethidion" Turniej Prozy (24.II). W składzie jury przyjęli udział :prof. M. Sobeski, dr. Z. Kosidowski i J. E. Skiwski.

*

Staraniem Koła Polonistów U. P. odbył się 9.V wieczór autorski Kazimiery Iłłakowiczówny. Na program wieczoru złożyły się 9.V. wieczór autorski Kazimiery Iłłakodochód przeznaczono na odbudowę Bazyliki Wileńskiej.

*

W „Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych" po kwietniowej wystawie poznańskiej grupy „Plastyka", wystawili swe prace członkowie warszawskiej „Loży wolnomalarskiej".

Jako następna — przewidziana jest wystawa grafiki czeskiej.

Ze świata słowiańskiego

Powieść Michała Rusinka p. t. „Pół mężczyzna", drukuje w odcinku dziennik czeski „Narodni Listy". Młody pisarz przygotowuje też do druku II-gi tom „Burzy nad brukiem".

Przemysł graficzny czechosłowacki zorganizował z inicjatywy dyr. Szkoły Przem. graficznego St. Dąbrowskiego wystawę swych prac. Składają się na nią: plakaty, reprodukcje wielobarwne i piękna książka. Ten ostatni dział świadczy, jak wysoko stoi technika drukarska w Czechach.

Słowacka Spółka Wydawnicza św. Wojciecha rozpoczęła cykl wydawniczy „Dobrej książki" tłumaczeniem Rodziewiczówny „Dewajtis".

Bibljoteka Polska w Paryżu urządziła z racji 100-lecia wydania „Ksiąg pielgrzymstwa i narodu polskiego", bardzo ciekawą wystawę, którą poprzedził odczyt prof. Wacława Borowego.

W Muzeum im. Szewczenki otwarto wystawę prac malarki ukraińskiej, Oleny Kulczyckiej. Prace jej cechuje impresjonistyczne traktowanie koloru w pejzażach. W kompozycjach figuralnych artystka wyraża się w mocnych zestawieniach barwnych (wpływ Maneta, w pejzażu wpływ Stanisławskiego). Wystawa obejmuje także drzeworyty, akwatinty, rzeźbę i projekty kilimowe.

Ruch wydawniczy w Sowietach zobrazowano z okazji dnia prasy w następujących cyfrach: w r. 1928 wychodziło w Sowietach 557 pism o nakładzie 9 miljonów egzemplarzy rocznie: w r. 1932 — 6683 pism o nakładzie 35 miljonów egzemplarzy. Pisma te drukowane są w 63 językach.

Mikołaj Bierdiajew, znany filozof rosyjski, autor „Nowego średniowiecza" wydał książkę poświęconą analizie komunizmu. Książkę zatytułował „Zagadnienie komunizmu".

Akademicki teatr jugosłowiański przybył do Krakowa. Teatr ten obchodził niedawno 10-lecie swego istnienia i cieszy się w Jugosławji dużem uznaniem. Tournée, które przedsięwzięła trupa akademicka po większych miastach Polski, ma na celu zaznajomienie publiczności polskiej z nowoczesnym dramatem jugosłowiańskim.

Eugenjusz Małaniuk, znany poeta ukraiński, bawiący obecnie w Warszawie, ogłosił w „Przeglądzie Współczesnym" (kwiecień 1933) obszerne, bardzo interesujące studjum p. t. „O literaturze ukraińskiej".

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Dobra 59, I p. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Dobra 59, I p. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.